

MARIA BUYNO-ARCTOWA

FIGA

DO MOICH CZYTELNIKÓW

W czasach, gdy za pomocą „gawędki listownej” w Moim Pisemku byliśmy z sobą w tak bliskim i serdecznym kontakcie, zapytywaliście mnie często, czy w moich powieściach wszystko jest „zmyślone”, czy też są one „prawdziwe”. Odpowiadałam Wam, iż wszystkie bez wyjątku moje powieści, większe i mniejsze, powstawały zawsze na tle jakiegoś prawdziwego zdarzenia.

W powieści, którą w tej chwili bierzecie do ręki, tej prawdy życiowej jest więcej niż w jakiegokolwiek innej. Prawie wszystko to, co opisuję, działo się, wiele osób, które wprowadziłam do mojego opowiadania, możecie spotkać w życiu. Możecie też zetknąć się z wszelkimi dobrymi uczuciami, które znajdziecie w tej książce, z życzliwością i chęcią niesienia pomocy każdemu, kto jej potrzebuje. Patrzcie tylko pilnie wokoło siebie, patrzcie oczami waszych czystych dusz i gorących serc i nie przechodźcie obojętnie tam, gdzie możecie komuś pomóc.

Piszę te kilka słów dlatego, iż gorąco pragnę, aby moja książka była dla was nie tylko miłą rozrywką, lecz abyście z niej wynieśli niezachwianą wiarę w potęgę dobra, które zawsze zwycięża.

Maria Buyno-Arctowa

— Panienczko, Lusieńko! A uważać proszę przy wsiadaniu! Bo to stopnie wysokie, łatwo można nóżkę wykręcić! — mówiła troskliwie miła staruszcza, stojąca z zadartą głową przed oknem wagonu, przez które wychylała się drobna postać dziewczynki o ładnej buzi, zszpeconej w tej chwili grymasem z trudem hamowanej złości.

— Ależ, Grzesiowo! Nie jestem przecież małym dzieckiem i nie pierwszy raz jadę koleją! — niecierpliwie odpowiedziała dziewczynka.

— Wiem! Wiem! Ale że to Lusieńka sama jedzie... Zawsze przecież z panem, z tatusiem. A teraz sama, taki świat drogi, to zawsze strach! — tłumaczyła się pokornie starowinka.

Ale jej pokora nie rozbroiła dziewczynki, która znów bardzo ostrym tonem odparła:

— Może dla Grzesiowej byłoby to straszne, ale nie dla mnie. Jadę sama, bo tak chciałam!

— Wiem! Wiem! Ale, Lusieńko, ja stara jestem, to się wszystkiego boję! A już o Lusieńkę to mi zawsze serce drży. I żał też, że tak się złożyło!

Tym razem twarz dziewczynki złagodniała; nawet uśmiech pojawił się na wykrzywionych niechętnie ustach.

— Grzesiowa jest bardzo dobra. Grzesiowa jedna — szepnęła zupełnie innym głosem i przyszła jej nagle chęć powiedzenia czegoś bardzo serdecznego i czegoś bardzo dziecinnego, ale spojrzenie jej padło na młodego chłopca, który zajmował w przedziale miejsce naprzeciwko niej i patrzył na nią ironicznym, jak jej się zdawało, wzrokiem.

Więc zacięła usta, ale po chwili, ulegając podszeptowi serca, oderwała się od okna, przebiegła korytarzyk, wyskoczyła z wagonu i rzuciła się na szyję staruszki.

7

— Do widzenia, Grzesiowo! Bądźcie o mnie spokojni! Dam sobie radę i będzie mi dobrze! — mówiła całując pomarszczoną twarz.

— Lusieńko kochana! Gołąbeczko ty moja! Serce ty masz jak szczerze złoto! Niech cię Bóg i Najświętsza Panienska ma w swojej opiece! — drżącymi wargami szeptała Grzesiowa, kreśląc krzyż nad głową dziewczynki.

— Do widzenia! Muszę już wracać do wagonu, bo pociąg zaraz ruszy! — rzekła Lusia, odrywając się od staruszki i prostując swą drobną postać, jakby sobie chciała dodać powagi i jakby się wstydziła wybuchu czułości.

— Poczekaj, gołąbeczko! Ja tu jeszcze coś mam dla ciebie. O, ta paczuszka! — mówiła Grzesiowa, wyciągając dużą kopertę, owiązaną różową wstążeczką, zalakowaną w paru miejscach.

— Co to jest? — zapytała Lusia, nieufnie spoglądając na kopertę.

— Zobaczysz sama. Ale otworzysz dopiero, jak pociąg ruszy. Tak nakazy...

Grzesiowa przerwała nagle, z przestraszeniem zakrywając usta ręką.

— Co? Kto kazał? — gwałtownie dopytywała Lusia, której twarz znów nabrała złego, ponurego wyglądu.

Gwizd lokomotywy i nawoływania konduktorów: — Siadać! Proszę siadać! — uwolniły staruszkę od odpowiedzi.

— Prędej, Lusieńko, panienczko kochana. Prędej! Pociąg zaraz ruszy! — mówiła gorączkowo, rada, że może nie odpowiadać na kłopotliwe pytania.

Dziewczynka, acz niechętnie, wróciła do wagonu, ale znów dopadła okna i wychylając się mocno, pytała niespokojnie:

— Kto kazał, Grzesiowo? Kto?

— Proszę się nie wychylać! Taka figa jak nic przez okno wypaść może! — zawołał przechodzący koło wagonu konduktor.

Jakiś niezbyt uprzejmy wyraz padł z ust dziewczynki, która cofnęła się gwałtownie od okna, nie słysząc już słów Grzesio-

8

wej, która, drepcząc koło ruszającego pociągu, przypominała stroskanym głosem:

— Lusieńko! W koszyczku są kurczęta pieczone... Trzeba zjeść w drodze, bo tam na wsi kurcząt przecież dosyć... A w paczce ciastka z kremem, te, co Lusia najlepiej lubi... Pani kazała...

I znów zakryła usta ręką, złorzecząc sobie w duchu, że niepotrzebnie się wygadała.

Tymczasem pociąg nabierał coraz większej szybkości i stare nogi nie mogły już za nim podążyć, więc Grzesiowa zatrzymała się i nakreśliwszy w powietrzu kilka krzyży, podczas gdy usta jej szeptały modlitwę polecającą jej ukochaną Figę opiece świętego Krzysztofa, patrona podróżujących, zawróciła i powlokła się wolno do domu.

Tymczasem Lusia wcisnęła się w swój kącik przy oknie, z trudem powstrzymując łzy, cisnące się jej do oczu.

Figa! Figa! Ciągłe ta figa! Nie ma dnia, żeby jej ktoś tak nie nazwał! I dlaczego? Jest wprawdzie mała, to prawda. Na dwanaście lat bardzo mała. Ale przecież ten konduktor nie wiedział, że ona ma lat dwanaście i nazwał ją figą! I przecież tyle jest małych dziewczynek, a nikt ich od razu nie nazywa figami!

Wprawdzie tatusiek nieraz jej tłumaczył, że w tym nie ma nic obraźliwego, że nie powinno jej to gniewać, ale to nie pomagało.

9

Lusia nie znosiła tej nazwy i już! A tymczasem wszyscy, jakby się zmówili, bezustannie tak ją nazywali, czasami nawet tatuś, nawet Grzesiowa.

Grzesiowa! Aha! Co to za koperta, którą jej Grzesiowa dała z polecenia — „Jej”!

Lusia obróciła kopertę parę razy w rękach! Miała ochotę wyrzucić ją przez okno nie oglądając, co się w niej znajduje. Ale ciekawość przewyciężyła niechęć, więc zwolna, ociągając się, dziewczynka przerwała sznurek, a potem, jeszcze wolniej rozdarła kopertę, z której wyjęła arkusik papieru. Gdy go rozwinęła, na kolana jej padł banknot stużłotowy.

Zmarszczyła gniewnie brwi i nie podnosząc banknotu, rzuciła okiem na równe, ładne pismo. „Jej” pismo.

Więc jeszcze gniewniej zmarszczyły się ciemne, równo zarysowane brewki nad błękitnymi oczami, gdy czytała niechętnie:

Kochana Lusieńko! Bardzo mi przykro, że będziesz tak daleko ode mnie przez całe lato. Mam jednak nadzieję, że namyślisz się i po krótkim pobycie u ciotki Żarkowskiej zdecydujesz się przyjechać do mnie nad morze. Na wszelki więc przypadek posyłam ci na drogę sto złotych. Adres przyślę, jak tylko zainstaluję się w Jastarni. Tymczasem ściskam cię serdecznie i raz jeszcze bardzo cię proszę, byś do mnie przyjechała.

Alina Czerska

— Niedoczekanie! — mruknęła z wściekłością Lusia i zmiąwszy arkusik, wyrzuciła go gwałtownie przez okno.

W tej chwili wzrok jej padł na leżący banknot.

Pochwyciła go, zmięła i zamierzała zrobić to samo, co z arkusikiem papieru, gdy rękę jej uchwyciła niby kleszcze, silna dłoń chłopca siedzącego naprzeciwko niej.

Lusia szarpnęła się silnie i wyrwała rękę.

— Jak śmiesz! — zasyczała przez zęby. Chłopiec roześmiał się wesoło.

— No! No! Kto by się spodziewał, że taka figa ma tyle siły! — zawołał.

Twarcyzka dziewczynki pokryła się purpurą.

10

— Jaka figa! Jakim prawem tak mnie nazywasz! — krzyknęła.

— No, bo jesteś taka maleńka jak figa! — odpowiedział, śmiejąc się ciągle, chłopiec.

Lusia zerwała się z miejsca i byłaby zapewne rzuciła się na chłopca, gdy rozległ się głos starszego pana, siedzącego obok niej.

— Nie ma się panienka o co obrażać! Figa — to przecież nic złego. A przyznać trzeba, że panienka nie jest zbyt duża. Ja sam, gdy panienka weszła do przedziału, pomyślałem sobie: że też taką figę samą w drogę puszczają.

Tego już było za wiele dla Lusi. Zmięty banknot wypadł z jej ręki. Usiadła ciężko na ławce, zakryła twarz rękami i — rozplakała się.

Chłopiec, śmiejący się dotąd, zakłopotał się nie wiedząc, co robić. Starszy pan wzruszył ramionami, podniósł się i wyszedł na korytarz.

Lusia płakała wciąż rzewnie.^

Chłopiec nachylił się, podniósł banknot, rozprostował go, po czym, stanąwszy przed płaczącą, zaczął mówić niepewnym

głosem:

— Ja bardzo przepraszam. Doprawdy, nie chciałem cię obrazić. Nie chciałem ci zrobić przykrości... Tylko nie mogłem dopuścić do tego, żebyś marnowała pieniądze...

— A jeżeli to są pieniądze od kogoś, kogo nie znoszę, nienawidzę? — wybuchnęła Lusia przestając nagle płakać.

— Możesz je oddać tej osobie, odesłać. Ale marnować ich nie wolno.

— Przecież to moja własność! — gwałtownie zawołała

Lusia.

— Tak. Ale mimo to marnować nie wolno! W tej chwili tyle jest biedy u nas w Polsce. Spójrz przez okno. Czy widzisz te biedne chaty, w których mieszkają jeszcze biedniejsi ludzie? Czy widzisz te nędzne koniki przy jeszcze nędzniej szych wozach i bryczuszkach? Pomyśl, ile szczęścia mógłby każdemu z tych ludzi dać ten banknot, który chciałaś zniszczyć bezmyślnie?!

Głos chłopca był teraz poważny, głęboki i tak przekonujący, że Lusia uspokoiła się zupełnie i odparła cichutko, trochę zawstydzona:

— Tak! Masz słuszość i dziękuję ci bardzo, żeś mnie

powstrzymał od zrobienia tego głupstwa. Ale — dodała po chwili — figą nie miałeś prawa mnie nazywać.

— Naturalnie! I bardzo cię za to przepraszam. Sam wiem, jakie to niemiłe, gdy przyczepią do nas jakieś przezwisko, od którego ani rusz nie można się odczepić. Mnie na przykład nazywają „Sucha tyczka”.

Lusia roześmiała się.

— Właściwie, to nie jest zła nazwa. Wyglądasz rzeczywiście jak tyczka — przytwierdziła.

— A widzisz! — zaśmiał się wesoło chłopiec. — Ja sam wiem, że wyglądam jak tyczka, a mimo to gniewa mnie, jak ktoś tak na mnie powie! No, ale teraz już się na mnie nie gniewasz, prawda?

Lusia wyciągnęła do chłopca maleńką rączkę.

— Ani trochę! — rzekła szczerze.

— No, to doskonale! Jedziemy oboje, zdaje się, dość daleko, więc będzie znacznie milej, że sobie pogawędzimy, niż gdybyśmy na siebie patrzyli jak wilki.

— Naturalnie. Ale powiedz mi, jak się nazywasz?

— Ach! zapomniałem się przedstawić... — ze sztuczną powagą rzekł chłopiec, i kłaniając się układowie, dodał: — Jestem Andrzej Winiarski.

— A ja Lusia Czerska!

— No, to już teraz wiemy o sobie wszystko! — wesoło zawołał Andrzej.

— Nie bardzo! Wiemy tylko, jak się nazywamy, a poza tym nic! — zauważyła Lusia, rozchmurzona już zupełnie, przez co twarzyczka jej nabrała jeszcze większego wdzięku.

— Masz rację! A ja, na przykład, umieram wprost z chęci zadania ci jednego pytania.

— Proszę bardzo! Nawet dziesięć! — zgodziła się Lusia, której wesoły, cienki dryblas podobał się coraz więcej.

— Na razie wystarczy jedno. A więc może zechcesz mi powiedzieć, dlaczego chciałaś wyrzucić za okno te sto złotych?

Lusia zmarszczyła gniewnie ciemne brwi. Uśmiech znikł z jej twarzy.

— Bo te pieniądze przysłała mi macocha! — szepnęła po chwili milczenia.

13

Cienki, długi chłopiec spojrzał na Lusię z widocznym współczuciem.

— Ach! Macocha! Niedobra dla ciebie? Dokucza ci? Lusia zmieszła się.

— Właściwie nie jest zła! — mówiła niepewnym głosem. — I niby mi nie dokucza.

— Więc?!

— No! Macocha, to wystarczy!

Andrzej spojrzał surowo na swą maleńką towarzyszkę podróży, śliczną, ślicznie ubraną i wyglądającą raczej na dużą lalkę, posadzoną na poduszkach wagonowego przedziału niż na żywą dziewczynkę.

— Ile ty masz lat? — zapytał.

— Za miesiąc skończę dwanaście.

— Niemożliwe! Taka f... O, przepraszam! Przypuszczałem, że jesteś młodsza, chociaż w oczach masz coś poważnego, czasami nawet starego. Ale nie o to chodzi! Dziwi mnie bardzo, że dziewczynka dwunastoletnia, inteligentna, jak mi się zdaje, może mówić takie głupstwa.

— Jak to?

— To tylko w starych bajkach każda macocha, tylko dlatego że jest macochą, musi być zła i trzeba ją nienawidzić. Ale w życiu jest zupełnie inaczej. Twoja macocha może być najlepszym człowiekiem! Nie możesz jej potępiać tylko dlatego, że jest macochą!

Lusia siedziała trochę zawstydzona. Co prawda, nieraz już słyszała podobne słowa. Ojczulek często jej mówił mniej więcej to samo. Nawet Grzesiowa, która jej zawsze i we wszystkim potakiwała, ośmielała się czasem wtrącić coś na obronę macochy.

Ale to nic nie pomagało. Dopiero dziś surowy głos wysokiego, nieznanego chłopca dotarł do jej sumienia i rozsądku.

— Ale bo widzisz — zaczęła się usprawiedliwiać. — Ona mnie obraziła za pierwszym razem, gdyśmy się spotkały. Bo, wyobraź sobie, ledwie mnie zobaczyła, klasnęła w ręce i zawołała:

14

„Ach, cóż to za milutka Figa!” — Tego jej nigdy nie daruję. Andrzej roześmiał się serdecznie.

— Ach, Lusu! Lusu! Ty naprawdę na punkcie tej figi masz prawdziwego biczka! I to biczka, który ci może bardzo szkodzić.

Lusia w duchu przyznawała Andrzejowi słuszność. Przypomniała sobie swój pobyt w szkole, gdzie nie miała przyjaciółek, gdyż ciągle się na którąś dziewczynkę obrażała za przezwisko „Figa”, które do niej przyłgnęło. Parę razy naraziła sobie nauczycielki, które przypadkowo użyły w stosunku do niej tej nazwy. Kiedyś w domu, gdy byli goście, zrobiła impertynencję jakiejś starszej pani, która, bez najmniejszej chęci zrobienia jej przykrości, przywitała ją słowami:

— Ach! więc to jest ta rozkoszna Figa!

— Dziś, na przykład — ciągnął dalej Andrzej — gdyby nie to, że się rozplakałaś, nie przemówiłbym do ciebie ani słowa przez całą drogę, bo uważałbym cię za głupią obrażalską. No, i nie bylibyśmy się poznali.

— Ach! To by była wielka szkoda! — szczerze zawołała Lusia. — Ty jesteś bardzo miły i umiesz tak jakoś przekonywająco mówić. I gdybym jechała bez towarzystwa, byłoby mi bardzo smutno.

— A widzisz! A zresztą, wierz mi, że nie tylko mały wzrost może być przyczyną przykrości. Takie dryblasy jak ja też cierpią i to właśnie z powodu swego dużego wzrostu.

— E... — niedowierzająco mruknęła Lusia.

— Zapewniam cię, że tak i na pewno przyznałabyś mi słuszność, gdybym ci opowiedział niektóre moje przeżycia.

— Mamy trochę czasu — rzekła Lusia — więc może mi powiesz, dlaczego twój duży wzrost przyczynia ci kłopotu?

— To bardzo proste! Wyobraź sobie taką sytuację w klasie. Nie przygotowałem lekcji. No, to się może każdemu czasami zdarzyć. Moi koledzy normalnego wzrostu otrzymują za to zwykłą wymówkę od nauczyciela. Ale gdy o mnie chodzi, robi się zawsze straszna awantura. „Taki duży chłopiec. Taki dorosły kawaler — i nie umie lekcji!” I różne przycinki: „Widać

15

im większy wzrost, tym mniejszy mózg! Taki dryblas mógłby już dawno szkołę skończyć, ale jak kto nic się nie uczy...” I tak dalej, i tak dalej.

Lusia śmiała się serdecznie, a Andrzej przytaczał wciąż nowe dowody, jak to niewygodnie być takim dużym.

— Kiedyś dwóch starszych, tylko znacznie mniejszych ode mnie chłopców zaczęło ze mną bójkę. Jestem dość silny, wygimnastykowany, więc jakoś sobie z nimi dałem radę, no i dostali coś niecoś, żeby pamiętali, że nie wolno rzucać się dwóm na jednego. A jaki był rezultat? Sam dyrektor wdał się w to i otrzymałem straszną burę, że taki wielki chłopak wykorzystuje swój wzrost i siłę, by krzywdzić słabszych! A niech się zdarzy, że na ulicy przypadkiem kogoś potrącę! Nic nie pomoże, że przeproszę grzecznie! Na pewno usłyszę: „Taki wielki chłopak powinien być uważniejszy!” A ciągłe żądanie różnych przysług: zdejmij to a to — przecież jesteś taki duży. Przynieś to lub tamto. Masz takie długie nogi, że ci to dużo czasu nie zajmie... A w sportach? Jakiegokolwiek moje zwycięstwo zawsze jest zatrute złośliwymi uwagami: „Żebyś ja był taki długi, to na pewno byłbym pierwszy u mety, a nie dragi. Łatwo wygrywać set za setem, jak się ma ręce na miłę, a nogi takie, że jednym skokiem pół placu przemierzają”. No i tym podobne.

Lusia zaśmiewała się z uciechy i zaczynała przyznawać w duchu, że w wielu wypadkach wygodniej jest być Figą, niż Dryblasem lub Suchą Tyczką.

— Chociaż każde przezwisko jest przykre! — zauważyła niezupełnie przekonana.

— Naturalnie! Ale trzeba zacisnąć zęby i powoli przyzwyczajając się do tego przezwiska. Więcej nawet, znaleźć w nim jakieś dobre strony.

— O! To chyba niemożliwe!

— Wszystko jest możliwe! Na przykład udaje ci się przypadkiem spełnić jakiś bohaterski czyn, obronić kogoś, wykryć złodziei, przeszkodzić bandyckiemu napadowi czy coś podobnego! Czy możesz sobie wyobrazić, jaki entuzjazm wywołało-

16

by to właśnie, że jesteś taką — figą! Albo gdybyś była w kinie. Jakie piękne role mogłabyś grać! Mogłabyś być królewną liliputów, Figą, a ja synem księcia olbrzymów o pięknym nazwisku: Sucha Tyczka!

Lusia śmiała się serdecznie, śmiał się i Andrzej, śmiał się i starszy pan, który wrócił do wagonu i przysłuchiwał się rozmowie.

— O, tak to lubię. Młody pan ma doskonały humor! I żałuję doprawdy, że już na następnej stacji wysiadam, bo się doskonale bawię słuchając was.

— A do Żarek jeszcze daleko? — zapytała Lusia.

— Do Żarek? Więc ty jedziesz do Żarek? — podchwycił Andrzej.

— Tak. Do stacji Żarki. A stamtąd końmi do majątku Żarkowice, które są własnością ciotki Żarkowskiej.

— A to się nadzwyczajnie składa! Ja też dojeżdżam do Żarek! — radośnie zawołał Andrzej.

— Macie więc jeszcze około dwóch godzin drogi. Sądzę, że przejdą wam one szybko na miłej pogawędce. Do widzenia, moi państwo! Ja tu zaraz wysiadam.

Lusia i Andrzej ukłonili się grzecznie wysiadającemu panu i zaraz powrócili do przerwanej rozmowy.

— Masz rodzinę w Żarkach? — dopytywała się Lusia.

— Nie. Jadę do zupełnie obcych ludzi, na posadę.

— Na po-sa-dę? — zapytała ze zdumieniem i pewnym szacunkiem Lusia. — To ty jesteś już zupełnie dorosłym człowiekiem?

— Niezupełnie! — zaśmiał się Andrzej. — Mam tylko wzrost dorosłego olbrzyma. Ale, jak ci się zdaje, ile mogę mieć lat?

— No... jakieś osiemnaście co najmniej! — z przekonaniem odparła Lusia.

Andrzej zaśmiał się znowu.

— A właśnie! Osiemnaście lat! Ho! Ho! Jakby to było dobrze, gdybym mógł mieć osiemnaście lat!

— Więc ile masz?

2 — Figa

— Piętnaście, dopiero piętnaście i jestem w szóstej klasie!

— Nie może być? Ale w takim razie jaką możesz mieć posadę?

— Jadę jako nauczyciel kilku chłopców, których mam przygotować do I klasy. Uczę się dobrze, jestem dość inteligentny, więc nie zrobię zawodu moim chlebodawcom, a zarobię sporo pieniędzy, bo składają się na mnie trzy rodziny.

— Jak to?

— A no tak, że koło Żarek są kolonie ogrodnicze, jedna blisko drugiej. Otóż trzy rodziny ogrodnicze zaangażowały mnie do spółki do swoich dzieci.

— Aha!

Lusia chciała zapytać, czy warunki materialne zmuszają Andrzeja do pracy zarobkowej, lecz nie wiedziała, czy to wypada. Ale Andrzej, który należał do typów wielomównych, sam zaczął o tym mówić.

— Po raz pierwszy w życiu będę zarabiał. Dotąd spędzałem wszelkie wakacje, a więc letnie i zimowe, u mojego wuja, który ma folwark niedaleko Warszawy. Wuj jest jedynym moim krewnym. Rodziców nie mam.

— O! — współczująco szepnęła Lusia.

— Wuj, który mnie wychowuje, jest bardzo dobry dla mnie. Dotąd nigdy mi niczego nie brakowało. Ale w miarę, gdy zaczynałem rozumieć to, co się wokoło mnie dzieje, przekonałem się, że utrzymywanie mnie, kształcenie i ubieranie mocno obciąża wuja.

— Przecież twój wuj ma folwark pod Warszawą, więc jest zamożny — zauważyła Lusia.

— E... kto teraz z właścicieli majątków jest zamożny! — mruknął z miną doświadczonego człowieka Andrzej.

— Moja ciocia ma majątek i jest bogata! — pośpieszyła zapewnić Lusia.

— To wyjątek! Otóż spostrzegłem, że wuj ma pewne trudności pieniężne i postanowiłem ulżyć mu. Wuj początkowo ani chciał słuchać o tym, bym spędził wakacje u obcych ludzi, ale wytłumaczyłem mu, że chcę sobie kupić rower, no i zgodził się.

18

— I kupisz rower? — ciekawie dopytywała się Lusia.

— Skądże znowu! Przede wszystkim nie lubię roweru. Wyobraź sobie tylko taką Suchą Tyczkę na rowerze! Co? A po wtóre, przecież nie po to jadę na tę posadę! Chcę zapłacić wpis szkolny! Widzisz, tym razem przydał się na coś mój duży wzrost! Inaczej może by się nie zgodzili wziąć mnie za „profesora”.

Lusia patrzyła z szacunkiem na swego towarzysza podróży. Jaki on dzielny! Tak, ale on jest duży, bardzo duży! Chociaż nie tak znów bardzo starszy od niej. Ale duży. Nie to, co ona — Figa!

Dziwna rzecz jednak! Ten wyraz, który ją tak drażnił dotąd, tym razem wywołał na jej usta coś, jakby uśmiech: zaczęła się z nim godzić!

— Nie przykro ci, że jedziesz w obce miejsce? — zapytała po chwili Lusia.

— Wiesz, nie! Będzie mi trochę tęskno za wujem i Borkami, ale cieszę się, że będę mógł choć trochę pomóc wujowi. Najgorzej to będzie bez Sokoła...

— Któż to jest Sokół?

— To mój wierzchowiec. Bardzo lubię jeździć konno. Lusi nagle zaświtała jakaś myśl.

— Słuchaj! Skoro jedziemy do tej samej stacji, będziemy niedaleko siebie.

— Naturalnie. Przypuszczam, że Żarkowice będą o jakieś pięć, sześć kilometrów od stacji.

— Mniej więcej tak. Więc, gdybyś chciał, och, byłoby mi bardzo przyjemnie, mógłbyś co niedziela przyjeżdżać do mnie. W Żarkowicach są piękne konie (wprawdzie Lusia nie widziała ich nigdy, ale przecież w wielkim majątku muszą być piękne konie). Będziesz mógł jeździć konno, ile zechcesz.

— Dziękuję za zaproszenie. Nie tyle, naturalnie, chodzi mi o konną jazdę, ile o zobaczenie się z tobą. Obawiam się tylko, że komunikacja będzie trochę utrudniona. Nie wiem, czy moi szefowie mają konie.

19

— Och! To bagatela! Przyślę po ciebie zawsze powóz zaprzężony w cztery konie. (Lusia nie wyobrażała sobie, by można było na wsi jeździć inaczej, niż w cztery konie.)

— To by było bardzo miło. Ale poczekaj, mam tu mapę sztabową; zobaczymy, jak daleko będziemy od siebie.

Andrzej rozwinął mapę i oboje pochylili się nad nią, szukając miejscowości, gdzie mieli spędzać lato.

Lusia, która jechała niechętnie na wieś, uważając to za jakąś klęskę, spowodowaną, naturalnie, przez jej macochę i nie interesowała się zupełnie Żarkowicami, poszukiwała ich teraz bardzo gorliwie na mapie i przychodziło jej na myśl, że ostatecznie i na wsi „w zakazanej dziurze”, jak nazywała Żarkowice, można będzie jakoś żyć.

Tymczasem zbliżali się do kresu podróży.

— Ciekaw jestem, czy zastanę jaki wehikuł dla siebie — kłopotał się Andrzej.

— To głupstwo! Zabiorę cię moim powozem; miejsca będzie dosyć! Twoja kolonia, jak wskazuje mapa, jest po drodze do Żarkowic.

— Możliwe, że skorzystam z twojej uprzejmości. No, ale teraz zbierajmy się. Zaraz będą Żarki.

Lusia była szczęśliwa, że był z nią Andrzej, gdyż na pewno sama nie dałaby sobie rady. Na peronie nie było tragarza. Nie było też stangreta w liberii, którego spodziewała się zobaczyć, gdy tylko pociąg stanie. Trzeba więc było samemu wynosić rzeczy.

A gdzieżby taka figa poradziła sobie z walizką, niewiele mniejszą od niej! Udźwignąć, to by na pewno udźwignęła, bo była na swój wzrost bardzo silna, ale wyglądałaby jak kurczę niosące jajko, w którym mogłoby się z łatwością zmieścić.

Tymczasem Andrzej doskonale wykorzystał swój wzrost, długie nogi i długie ręce. Pociąg zatrzymywał się w Żarkach bardzo krótko, więc Andrzej chwycił kolejno walizki i pakunki swoje oraz Lusi, wysuwał jej przez okno i używając swoich długich rąk jak windy, ustawiał na peronie.

20

— Wychodź prędzej! Już ja sobie dam radę z pakunkami. Nie obawiaj się! Nie zapomnę niczego.

Niepotrzebnie zresztą ostrzegął, bo Lusia miała do swojego towarzysza podróży najzupełniejsze zaufanie! Wzięła więc tylko parę drobnych paczuszek, wysiadła z wagonu i stojąc przed oknem, przyglądała się robocie Andrzeja.

Miała ochotę pomóc mu, ale Sucha Tyczka ofuknęła ją żartobliwie:

— Usuń się lepiej, bo tak zarzucę cię pakunkami, że śladu po tobie nie będzie.

Wyskoczył z wagonu w ostatniej chwili, gdy rozległ się gwizd naczelnika stacji i pociąg, sapiąc i dysząc, drgnął, szarpnął i zaczął się z wolna posuwać.

— Uf! Alem się musiał śpieszyć! — odetchnął Andrzej, ocierając pot z czoła.

— I zmęczyłeś się porządnie przeze mnie — szepnęła Lusia.

— Skądże znów przez ciebie. Przez tragarza, którego nie było i przez pociąg, który nie chciał się zatrzymać dłużej. No, ale teraz trzeba przetranslokować bagaż do naszych wehikułów, o ile naturalnie są — kłopotał się Andrzej.

— O, na mnie powóz czeka na pewno. Więc o dostanie się na miejsce możesz być spokojny! — żywo zapewniła Lusia, a w duchu pragnęła, by nie było koni po Andrzeja, bo wówczas zabrałaby go z sobą i byłaby dłużej w jego miłym towarzystwie. A może nawet udałoby się wziąć go do Żarko-wic...Mógłby jutro dopiero stawić się na swoją „posadę”.

Tymczasem na stacji nieliczna publiczność, złożona z paru przekupek, dwóch urzędników kolejowych i kilku wyrostków, przyglądała się z zaciekawieniem tak bardzo niedobrej parze i już dały się słyszeć

półgłosem rzucane żartobliwe uwagi. I rzeczywiście, gdy Andrzej wyprostował się i stanął w całej rozciągłości swej cienkiej figury, Lusiana musiała mocno zadzierać główkę, by dotrzeć wzrokiem do jego twarzy.

— Tworzymy zabawną parę! I pewnie wzdychasz do chwili, kiedy się rozstaniemy, bo mój wzrost akcentuje twoją małość — odezwał się Andrzej, któremu uwagi publiczne robiły przykrość ze względu na Lusianę.

22

— Ależ co znowu! — zaprzeczyła żywo dziewczynka, która bardzo pogodnie przyjmowała ironiczne uwagi, mimo że zdołała już pochwytać zniechęcony przez siebie wyraz

— figa. Ale pogodny humor Andrzeja sprawił, że widziała dziś wszystko w innym świetle.

— No, więc ruszajmy w poszukiwaniu naszych cugan-tów*. Nasze bagaże nie są zbyt ciężkie. Zaniosę je bez wysiłku.

Co za dzielny chłopiec! I jak mu wszystko składnie szło!

Lusiana, drepcząc za wysokim, ciekim Andrzejem, podziwiała jego elastyczny, zgrabny chód i wdzięczną, mimo zbyt wysokiego wzrostu, postawę, a nade wszystko swobodę, z jaką niósł kilka dość dużych pakunków.

— Ależ silny! — z pewną zazdrością pomyślała. Przeszedłszy poczekalnię, para budząca sensację znalazła się

na ganeczku o kilku schodach. Przed ganeczkiem było pusto, tylko z boku, w cieniu akacjowych drzewek, stały dwie jakieś furmanki.

— Co to znaczy? — zakłopotana się Lusiana. — Nie ma po mnie koni?

— Zaraz się dowiemy! — rzekł Andrzej i zawołał głośno:

— Czy są konie z Żarkowic?

— A stoi tam furmanka — objaśnił jakiś chłopiec, wskazując na stojącą pod akacjami odrapaną bryczuszkę, zaprzęgniętą w chudego konia, stojącego ze smętnie opuszczoną głową.

* cuganty — konie używane tylko w czterokonnym lub sześciokonnym zaprzęgu powozu; tu żartobliwie.

23

— Ależ tu chodzi o konie dworskie z Żarkowic, które miały przyjechać po panią z Warszawy — niecierpliwie mówił Andrzej, z niepokojem patrząc na niezachęcający zaprzęg.

Lusiana stała z szeroko otwartymi oczami, w których malowało się przerażenie. Nie! Nie! To niemożliwe! Przecież to nie po nią!

— Uspokój się Lusieńko! To jakaś pomyłka! Poczekaj tu. Zaraz się dowiem! — starał się uspokoić dziewczynkę Andrzej.

W tej chwili drzemiący na koźle odrapanej bryczki woźnica obudził się i podniósł głowę.

Wyglądał tak opłakanie, jak cały zaprzęg. Był brudny, obdarty, twarz miał ordynarną i zuchwałą.

— A co tam? Jest ten pasiażer do Żarkowic? — zawołał ochrypłym głosem.

Lusia kurczowo uczepliła się Andrzeja.

— Ależ to okropne! To okropne! — szeptala drżącymi wargami.

— Cicho, cicho, Lusieńko! Nie trzeba się denerwować. Zaraz pogadam z tym jegomościem — rzekł Andrzej i ująwszy mocniej swój bagaż, podszedł do bryczuszki, a Lusia czepiając się jego rękawa, jak malutkie dziecko sukni swej piastunki, szła koło niego.

— To wy przyjechaliście po panienkę z Warszawy? — zawołał Andrzej.

— A no! To właśnie to-to? — wskazując końcem bata na Lusie, odparł woźnica i roześmiał się, dodając:
— To ci dopiero persona! Figa jakaś!

Lusia zbyt była przerażona wyglądem wehikułu, jaki przysłała po nią bogata właścicielka Żarkowic, by zwrócić uwagę na zniechęconego przezwisko, którym ją obdarzali bezustannie swoi i obcy. Ale Andrzej, choć niedawno jeszcze tłumaczył Lusi, że w wyrazie figa nie ma nic obraźliwego, rozwścieczył się formalnie.

— Ja cię nauczę odzywać się odpowiednio, ty gburze! — krzyknął groźnym głosem.

24

— No, no! Niech no się kawaler nie rzuca! — odburknął woźnica, ale spojrzawszy na wielkiego chłopca, który stał przed nim z zaciśniętymi pięściami i roziskrzonym wzrokiem, spokorniał nagle. — Przecież nic złego nie powiedział... Nie ma się co gniewać... No, siadać, bo wieczór się zbliża, a ko-nisko nie bardzo chybkie!

— Włóż rzeczy panienki na bryczkę! — rozkazywał Andrzej, wskazując walizkę i torebkę Lusi.

Woźnica zamruczał coś niechętnie, ale widać wzrost i groźna postawa Andrzeja wzbudzały w nim szacunek, gdyż zlął z bryczki i przeniósł rzeczy Lusi, która nie miała odwagi wsiąść i stała bezradnie, z trudem powstrzymując łzy, tłoczące się gwałtem do oczu.

— Odwagi, Lusieńko! Wszystko będzie dobrze! To tylko w pierwszej chwili wydaje się straszne, a w gruncie rzeczy będzie to drobnostka. Jakieś nieporozumienie, jakieś błędne rozporządzenie... No, siadaj, kochanie! Zresztą bryczuszka jest wcale wygodna — mówił Andrzej i uniósłszy Lusie w górę jak piórko, usadził ją na siedzeniu.

— No, tak! Doskonale. I jeżeli pozwolisz, odwiedzę cię jak najprędzej.

— Ale, Andrzeju! Ja się boję tam jechać! Co mnie tam może czekać? — szeptała trwoźnie Lusia, nie puszczając ręki Andrzeja.

— Zobaczysz na miejscu. A w razie czego, zapakujesz manatki i wrócisz do Warszawy. Przydadzą ci się te pieniądze, omal nie wyrzucone za okno.

— Przyjedź jutro! — błagała Lusia.

— Dobrze! Jakoś się zwolnię. A teraz jedź z Bogiem! Do widzenia.

Andrzej uścisnął serdecznie małą, drobną rączkę i zwrócił się rozkazująco do woźnicy:

— Można jechać! A pilnować panienki i uważać, żeby jej było wygodnie.

— Przecie nie ze szkła, nie rozbije się. A koń tyż nie do kawalerskiej jazdy! Wio, stary! Jadziem!

25

Rozklekotana bryczka potoczyła się, podskakując po wyboistym bruku, i wkrótce zniknęła Andrzejowi z oczu.

* * *

Lusia starała się opanować żal i trwogę i uspokajała się powoli, ale nie mogła zrozumieć, jakim sposobem zastała na stacji — miast powozu, zaprzęgniętego w cztery piękne konie, jak się spodziewała — obdartą bryczuszkę z ordynarnym woźnicą.

Ojciec Lusi opowiadał o Żarkowicach jako o bardzo dużym i pięknym majątku i nieraz wspominał, że chętnie by tam pojechał na jakiś czas. Ciocia Zarkowska, taka niezupełnie prawdziwa, dalsza ciocia, raz do roku przysyłała bardzo uprzejmy list, w którym zapraszała serdecznie Lusię i ojca do siebie na lato. Ale dziewczynka wolała wyjeżdżać z ojczulkiem nad morze, albo w góry, nawet do jakiegoś kuracyjnego zakładu.

W tym roku dopiero zdecydowała się na wyjazd do Żarkowic, bo ojciec wyjechał na jakiś czas do Anglii, a z macochą nie chciała jechać nad morze.

Ciocia Zarkowska przyjęła zawiadomienie o przyjeździe Lusi z nadzwyczajną radością, którą wyraziła w niezwykle serdecznym liście, zawiadamiając, że w oznaczonym terminie wyśle po Lusię konie i oczekiwać na nią będzie niecierpliwie.

Najwyraźniej napisane było: konie! A tu ten jeden nędzny konik, odrapana bryczuszka i ten obrzydliwy woźnica!

Ach! A ona chwaliła się przed Andrzejem pięknymi końmi i zaofiarowała się zabrać go swoim powozem.

ładny powóz, nie ma co mówić!

I co ten Andrzej może sobie o niej pomyśleć! Że się chwaliła, że blagowała!

Purpura zalała twarzą Lusi. Ach! Co za wstyd!

— Wio, stary! Toć „ważnego pasażera” wieziesz! — dogadywał woźnica. — Jak oka w głowie trza pilnować. A nie utrząsnąć, broń Boże!

26

Konisko wlokło się powoli po bocznej piaszczystej drodze, a Lusi zdawało się, że ta podróż trwa całe wieki.

W pewnej chwili bryczuszkę minął wóz ogrodniczy, zaprzężony w dwa tęgie konie. Siedział na nim Andrzej obok młodego, schludnie ubranego chłopaka.

Przejeżdżając koło Lusi, Andrzej zdjął czapkę i powiewając nią w powietrzu, zawołał wesoło:

— Nosek do góry! Jutro będę u ciebie!

Zdążył jeszcze rzucić groźne spojrzenie woźnicy wraz z wymownym gestem dużej, żylastej ręki, co mniej więcej oznaczało:

— Jedź porządnie, bo będziesz miał ze mną do czynienia! Tak też widocznie zrozumiał to opryskliwy woźnica, bo

cmoknął na konia, zamachał batem nad jego łbem, konisko zmieniło leniwego stępa na lekki trucht i bryczuszka potoczyła się raźniej po drodze, mniej już teraz wyboistej.

Po obydwóch stronach rozciągały się wielkie łany zboża, wśród którego przeważała pszenica, nabierająca już złotawego odcienia.

Lusia nie lubiła wsi, a raczej nie znała jej i nie interesowała się jej życiem. Mimo to oczy jej Ignęły do tych kołyszących się łagodnie fal morza, stworzonego mozolnymi wysiłkami rąk ludzkich, i nie mogły się oderwać. Dziwny jakiś spokój i cicha radość wstąpiła w jej duszę. Nie umiała sobie wytłumaczyć, co ją cieszy, dlaczego ciepłe prądy dobrych uczuć przenikają jej serce, bo nie znała mowy ziemi-rodzicielki, która ją witała, zdobywając dla siebie obojętne dotąd serce.

Woźnica odwrócił się do niej. Wyraz jego opryskliwej twarzy zmienił się. Ponure oczy zabłyśły, coś jakby uśmiech przebiegł po grubych wargach.

— A co? Ładne? Ziemia sama obrodziła, choć to gospodarstwo, pożałuj Boże! Takiej pszenicy nie ma w całej okolicy.

— Tylko co z tego — dodał po chwili znów złym głosem — kiedy i tak wszystko rozdrapią, a człowiek nawet swojej ordynarii* nie zobaczy!

* ordynaria — część zarobków robotników rolnych w dawnych majątkach ziemskich wyplacana w naturze, np. w zbożu, ziemniakach.

27

— Lusia nie bardzo rozumiała jego słowa, ale wyczuwała instynktownie, że coś się w Żarkowicach dzieje niedobrego, i nagle ogarnęła ją chęć dowiedzenia się czegoś więcej, i już miała na ustach zapytanie, gdy z bocznej drogi, pięknie obsadzonej rozłożystymi lipami, wypadł śliczny wolancik*, zaprzężony w dwa wspaniałe kasztany, z białymi strzałkami na czołach. W wolancie siedział rozparty niedbale krępy jegomość o rozlanej czerwonej twarzy, na której pysznił się wielki nos kształtu kartofla.

Gdy wolant mijał bryczuszkę, woźnica służbiście zdjął czapkę, pochylając się na koźle w niskim ukłonie, na co nie otrzymał żadnej odpowiedzi od pękatego jegomościa, który w przelocie utkwił w Lusi przenikliwe spojrzenie, kłujące dziewczynkę jak ostra szpilka.

— Pan Rudolf Holowy! — objaśnił półgłosem woźnica, obracając się do Lusi. — Tylko ta para koni wygląda przyzwoicie, bo nimi on zawsze jeździ.

— To konie z Żarkowic? — zapytała Lusia.

— Tak! Ale nikt nimi nie jeździ, tylko pan Rudolf. Lusia nie miała już czasu zapytać, co to za ważna osobistość

ten pan Rudolf, gdyż skręcili właśnie w lipową aleję i Lusia wpadła w prawdziwy zachwyt na widok przepięknych drzew, pokrytych wonnym kwieciem, dającym ten przedziwny zapach, tak ściśle związany z wsią polską.

Całe powietrze przepelnione było brzękiem pszczoł, krzątających się, by zdobyć jak największy zapas tej najcenniejszej w ich pracy zdobyczy.

— To już Żarkowice? — szepnęła Lusia.

— A no, zaraz obaczym dwór — mruknął woźnica nieco łaskawszym tonem.

Bryczuszka toczyła się coraz żwawiej, jakby nędzny konik nabrał animuszu na myśl, że niedługo wypocznie po podróży. Po chwili zamajaczyły białe ściany dworu.

— Ach! Jak tu ślicznie! — nie mogła powstrzymać okrzyku zachwytu Lusia, gdy wyjechawszy z lipowej alei, bryczuszka

* wolant — lekki, odkryty powozik.

28

minęła szeroko otwartą piękną bramę i okrążywszy wielki klomb róż w pełnym rozkwicie, zatrzymała się przed tarasem, wspartym na ośmiu białych kolumnach.

— ładnie, bo ładnie! Ale te kwiaty nikomu chleba nie dadzą! — filozoficznie zauważył woźnica, po czym gdy Lusia wyskoczyła z bryczki, zdjął walizki, cmoknął na konika i truchcikiem odjechał w stronę drugiej bramy, wiodącej na dziedziniec gospodarski.

Lusia stała jakiś czas nieruchomo, oszołomiona niesłychaną ilością przepięknych róż, których pęki stały na stolikach rozrzuconych po tarasie i w oknach frontowych dworu, z którego nikt się nie zjawiał na jej spotkanie.

Toteż po chwili dziewczynka, mimo pięknego otoczenia, poczuła się nieswojo i rozglądała się bezradnie wokoło.

Nagle z głębi dworu dobiegły ją dźwięki fortepianu.

Lusia lubiła muzykę. Sama grała trochę i obiecywała sobie, że gdy tylko upora się z nauką w szkole, zajmie się więcej muzyką. Z ojcem bardzo często bywała na koncertach i nie przepuszczała ani jednej audycji radiowej, gdy spodziewała się usłyszeć Szopena.

A teraz właśnie dobiegały dźwięki szopenowskiego nokturnu.

Ktoś grał bardzo pięknie, a instrument, na którym grano, musiał być doskonały.

Lusia jak oczarowana ruszyła w stronę, skąd dochodziła muzyka. Przeszła przez wielki, wykładany drzewem dębowym przedpokój, potem jakiś duży salon i znalazła się w otwartych drzwiach drugiego salonu.

Zatrzymała się na progu, z zapartym oddechem chwytając przepiękne dźwięki płynące od fortepianu stojącego w końcu wielkiego pokoju o trzech oknach, wpatrując się jednocześnie z zachwytem w postać siedzącą przy klawiaturze.

Była to nieduża, drobnej budowy pani (to usposobiło Lusię od razu przychylnie do niej, gdyż nie lubiła dużych ludzi), o ślicznych, falujących lekko, prawie zupełnie białych włosach. Drobna twarz o regularnych rysach miała wyraz świad-

29

czący, iż wszystko wokoło nie istnieje dla niej — tylko melodia, muzyka.

Długie, cienkie, bardzo białe palce przebiegały po klawiaturze lekko, bez najmniejszego wysiłku. Nut nie było, grała z pamięci.

Lusia, cichutko, by nie spłoszyć tego zjawiska, przysunęła się prawie do samego fortepianu i przytuliwszy się do wielkiego, staroświeckiego fotela, stała zasluchana.

30

Jedna za drugą płynęły przepiękne melodie, a Lusia słuchała jak oczarowana, nie mogąc oderwać oczu od grającej, gdy nagle od okna oderwała się jakaś biała kula i potoczyła pod nogi dziewczynki.

Lusia odskoczyła krzyknąwszy głośno, ale już za chwilę zawstydziła się swego przestachu, zobaczywszy bawiącą się szpulką nici śliczną, białą koteczkę.

Muzyka umilkła. Drobną postać kobieca podniosła się od fortepianu i żywo podeszła do Lusi.

— Ach, Boże! To ty już jesteś tutaj? A ja się tak zagrałam, że nie wyszłam na twoje powitanie! O, bardzo cię przepraszam! — mówiła melodyjnym, cichym głosem pani Żarkowska, wyciągając ręce do dziewczynki.

— Och, ciociu! To ja przepraszam, że przeszkodziłam... Ciocia gra tak pięknie!

Twarz pani Żarkowskiej rozpromieniła się.

— Lubisz muzykę? Jak to dobrze! A może sama grasz?

— E, co to za granie. Uczę się trochę. A ciocia to prawdziwa artystka! — z entuzjazmem zawołała Lusie, całując długie białe palce pani Żarkowskiej, która serdecznie objęła dziewczynkę.

— Cieszę się, że nie gniewasz się na mnie, że cię tak niegościnnie przyjąłem. Ale zaraz to naprawię i zajmę się tobą, jak powinnam.

To mówiąc pani Żarkowska podbiegła do dzwonka i niecierpliwie nacisnęła biały guziczek.

Lusia zauważyła, że miała żywe ruchy i bardzo zręczną figurę, która nadawała jej, mimo białych włosów, dziwnie młody wgląd.

— Pewnie jesteś porządnie głodna? W tej chwili wszystko zarządzę! — mówiła pani Żarkowska, nie przestając naciskać dzwonka. — Właściwie wszystko jest przygotowane na twoje przyjęcie... O, ogromnie się cieszyłam na twój przyjazd i z niecierpliwością prawdziwą czekałam na ciebie!

Lusi w tej chwili stanęła przed oczami odrapana bryczuszka i nędzny konik. Czyżby w Żarkowicach, oprócz pojazdu uży-

31

wanego przez pana Rudolfa, nie było innego zaprzęgu dla gościa, na którego właścicielka czeka z niecierpliwością? — Ach! Otóż i gosposia! Proszę zaprowadzić panienkę do jej pokoju. Bo pewnie zechcesz się umyć i trochę okurzyć po podróży. Potem niech gosposia poda podwieczorek. Do kolacji za długo byłoby czekać.

Gosposia, która, człapiąc rozdeptanymi pantoflami, weszła do pokoju, była to tęga, duża kobieta, z rozczochraną głową i niezbyt czystymi rękami, którymi podparła się pod boki.

— Taki gwałt pani robi, jakby się paliło! — mówiła zuchwałym tonem. — Od tego dzwonka człowiekowi aż uszy

puchną.

Na bladą twarz pani Żarkowskiej wystąpił lekki rumieniec, brwi ściągnęły się gniewnie i Lusia myślała, że zuchwała kobieta dostanie porządną burę, gdy tymczasem zupełnie niespodziewanie pani Żarkowska odezwała się proszącym, niemal pokornym tonem.

— Moja gosposiu! Proszę nie zrzędzić, lecz zająć się panienką, która jest zmęczona i głodna!

— Naturalnie! Takie miejskie goście zawsze są głodne. Myślą, że na wsi"to mleko i miód strumieniami płyną! A tu bida, większa jeszcze jak u nich! No, proszę za mną! A rzeczy jakie są? To trzeba je zabrać! — prawiła gospodyni mierząc Lusię lekceważącym wzrokiem.

— Idź, kochanie! Twoje rzeczy są pewnie w przedpokoju? Zaraz ci je przyślę na górę! — mówiła pani Żarkowska chcąc miłym serdecznym tonem złagodzić szorstkość służącej.

— Właśnie! Tam już czeka lokaj, żeby obsługiwać taką wielką osobę! — mruzczała gospodyni człapiąc ku drzwiom.

Lusia poszła za nią oszołomiona, zdumiona i nie rozumiejąca, co się wokoło niej dzieje. Do ciotki poczuła od razu ogromną sympatię, ale jej otoczenie było dziwnie szorstkie, gburowate, zuchwałe.

Z obszernego przedpokoju weszła, idąc za swoją przewodniczką, na schody, które musiały być od dawna nie zamiatane. Po bokach i od sufitu zwieszały się obficie pajęczyny.

32

Tęga kobieta szła po schodach sapiąc i mrużąc ciągle dość głośno, by Lusia mogła usłyszeć.

— Gości się jeszcze zachciewa! Właśnie! Pokój szykować! Podwieczorek podawać! Nie dosyć się to człowiek naharuje przy kuchni i dobytku! Za niańkę jeszcze mam być!

Weszły na korytarz i gospodyni zatrzymała się przed drzwiami.

— Tutaj jest pokój! Łóżko zasłane i woda jest! A po rzeczy trza iść samej, bo ja nie mam czasu i zdrowia po schodach się uganiać, a inna służba też co innego ma do roboty — rzekła opryskliwym głosem i odwróciwszy się poczłapała z powrotem po schodach na dół.

Lusia, która pod wpływem pięknej muzyki pani Żarkowskiej i przemiłej powierzchowności ciotki zaczęła się godzić z Żarkowicami, poczuła się znowu nieswojo i najchętniej byłaby nie rozpakowywała rzeczy, lecz wystarczywszy się o konie, wróciła na stację.

Ale dobre, łagodne oczy pani Żarkowskiej i jej drobna, bezradna postać zatrzymały ją.

— Poczekam! Zobaczę! — pomyślała, rozglądając się uważnie dokoła.

Pokój dla niej przygotowany był duży, niektóre meble, jak piękne, czeczotowe biurko, także kanapka, fotele i kilka krzeseł, ładne i bogate. Ale wstawione widać pośpiesznie, żelazne łóżko zasłane było niedbale i pokryte zwyczajną, grubą derką.

Na drewnianym stołku stała zwyczajna miednica, niezbyt starannie umyta i z poodpryskiwaną emalią, obok blaszane wiadro i duży, gliniany garnczek, zamiast dzbanka.

Figa

33

Było to tak niedopasowane do pięknej, choć zniszczonej posadzki, czeczotowych mebli i paru portretów w kosztownych ramach, że Lusia nie umiała sobie wytłumaczyć, co to

wszystko znaczy.

Z cichym westchnieniem zabrała się do mycia rąk kawałkiem zwyczajnego mydła, jako tako oporządziła się i zeszła na dół do przedpokoju.

* * •

Drzwi do salonu były otwarte i dochodziły z niego dwa głosy.

34

Jeden — to cichy, melodyjny głos ciotki Zarkowskiej, drugi — jakiś męski, nieznamy.

Zawahała się przez chwilę, co robić: wejść czy się cofnąć? Lecz dlaczego właściwie miała by nie wejść? To, że nie lubiła poznawać nowych ludzi, nie mogło tu odgrywać żadnej roli, bo przecież tak czy inaczej będzie musiała w tym nowym miejscu bezustannie poznawać kogoś nowego.

A przykreść stykania się z nowymi ludźmi wypływała z tego samego źródła, z jakiego płynęła większość zmartwień Lusi. Nie było bowiem prawie wypadku, żeby taki ktoś, spojrzawszy na nią, nie powiedział z mniej lub więcej wesołym uśmiechem:

„Cóż to za figa!”

Dodawano przy tym najczęściej jakiś pochlebny przymiotnik; a więc: coś to za miła albo ładna, albo nawet śliczna czy rozkoszna, ale na końcu zawsze była figa!

Szczególniej, gdy to była jakaś osoba duża, wysoka i tęga, przy której Lusie, jak sama nawet wyczuwała, była naprawdę

— figą!

Och! Jakże nie lubiła tych wszystkich szczęśliwych dużych ludzi!

Wyjątek robiła tylko dla ojca, który był bardzo postawny, wysoki i zgrabny. No, ale to był przecież jej ukochany tatu-siek! Nikomu obcemu nie darowała w duchu jego wzrostu.

Andrzej? Prawda, Andrzej był przecież także bardzo wysoki... No, ale Andrzej — to zupełnie co innego! Jemu jego wzrost ciążył, tak jak jej nieszczęsna nazwa „Figa”.

A ten pan, rozmawiający w salonie z ciotką Żarkowską, jest na pewno duży i na pewno nazwie ją figą!

Ta myśl zdecydowała i Lusia zamierzała już zawrócić, gdy doszły ją słowa, które dziewczynkę przykuły do miejsca.

— Więc nie otrzymał pan pieniędzy? — pytał stroskany głos ciotki.

— Nie, szanowna pani! — brzmiała odpowiedź nieznanego mężczyzny. — Proszę mi wierzyć, że starałem się o nie wszędzie.

35

— I wszędzie odmówili?! Tak! Tak! Teraz o pieniądze bardzo trudno. Trzeba będzie sprzedać pszenicę na pniu!

— Pszenicę? Na pniu? Któż to pani poradził?

— Rudolf wynalazł kupca, który chce zapłacić gotówką, z tym, że ja zbiorę i wymłócę, a on zabierze wszystko.

— A ileż pan Rudolf, w imieniu tego kupca, ofiarowuje za tę pszenicę?

Teraz w głosie męskim brzmiała wyraźna ironia.

— Dziesięć złotych za metr!

Rozległ się trzask gwałtownie odsuwane go krzesła.

— Ależ to szaleństwo! To dobrowolne dobijanie się! Taka propozycja to rozbój! — wołał podrażniony głos męski.

— Mnie się też wydawało, że to trochę mało. No, ale słoma zostaje dla mnie! — nieśmiało tłumaczyła pani Żarkowska.

— Ale czy pani zdaje sobie sprawę z tego, że tegoroczna pszenica to złoto?! Ona może wybawić panią z kłopotów,

postawić na nogi!

— I ja tak myślałam. Ale pan wie! Podatki nie zapłacone. Meble mam opisane... nawet fortepian, który mogą mi zabrać, jak mówił Rudolf.

W głosie pani Żarkowskiej zabrzmiała groza, która przejęła

Lusię.

Fortepian! Od chwili, gdy usłyszała swą ciotkę grającą, wyczuła instynktownie, że muzyka — to jej drugie życie!

Fortepian! Co ta miła, ale dziwnie bezradna istota robiłaby bez niego?!

— A czy pan był w Izbie Skarbowej? — usłyszała znów nieśmiałe pytanie.

— Owszem, byłem.

— No, i...?

— Odmówili!

— Widzi pan! Nie ma ratunku!

Zapanowała cisza. Lusja przyciskała drżącymi rękami głośno bijące serce.

Jak to? Więc właścicielka tego pięknego majątku, tego bogatego dworu, ze ślicznymi salonami, wspaniałymi mebla-

36

mi, jest tak biedna, że nie może płacić podatków? Że grozi jej zabranie fortepianu?

— Będę jeszcze próbował — rozległ się po chwili milczenia głos męski. — W każdym razie proszę mi przyrzec, że pani bez porozumienia się ze mną nie sprzeda pszenicy...

— Dobrze... Chyba, żebym była zmuszona... Ale, panie Kazimierzu, czy niemożliwe byłoby otrzymanie bodaj drobnej pożyczki? Widzi pan... mam gościa. Jest moja mała kuzy-neczka. Śliczne, przemile stworzonko! Taka filigranowa — figa!

Lusia zzymnęła się. Więc nawet ciotka Żarkowska użyła tej znieawidzonej nazwy!

— Coś z mojego gatunku! Bo, wie pan, że i ja byłem _zawsze za mała na swój wiek i często nazywano mnie figą, za co naturalnie, bardzo się obrażałam — ciągnęła dalej pani Żarkowska.

— Za to serce miała pani zawsze wielkie i duszę wspaniałą! — zawołał gorąco głos męski.

— Cóż, kiedy energii miałam za mało, by po śmierci męża uporać się z interesami. I teraz oto, będąc właścicielką takiego majątku jak Żarkowice, nie mam czym przyjąć mojego małego gościa. Po prostu nie ma grosza w domu! To jest chwilowe, naturalnie, ale jednak na razie jestem bez grosza.

— Och! Jeżeli chodzi o drobną sumkę, to służę pani natychmiast.

Gdzieś w głębi domu trzasnęły jakieś drzwi, rozległy się jakieś kroki... Ktoś nadchodził. Lusia posunęła się ku drzwiom, a jednocześnie w salonie zrobił się ruch i dziewczynka spotkała się na progu z wychodzącą ciotką Żarkowska, za którą szedł starszy pan, z prześliczną, białą, falującą czupryną i dobrymi, niebieskimi oczami, rozumnie patrzącymi spod czarnych brwi.

Miłe wrażenie, jakie zrobił nieznajomy pan na Lusi, potęgował jeszcze jego niewielki wzrost.

— Ach! Otóż i moja miła kuzyneczka, o której panu mówiłam — Lusia Czerska...

37

— Inaczej zwana Figą! — wesoło dodała dziewczynka, pierwszy raz w życiu zażartowawszy ze znienawidzonego

przezwiseka.

Pan z białą czupryną uśmiechnął się bardzo mile.

— O! Panna Lusia ma duży rozumek, bo, miast obrażać się, jak to zwykle robią różne osobki w podobnych wypadkach, żartuje sobie z chwilowego przezwiseka. Jestem Kazimierz Łapiński — przedstawił się uprzejmie.

— O, to za mało powiedziane! Najlepszy, najserdeczniejszy przyjaciel.... Uczynny, współczujący — z zapałem dodała pani Żarkowska.

Lusia dygnęła układowie i złożyła swą maleńką rączkę w wyciągniętą dłoń pana Kazimierza.

— Otóż i znajomość zawarta! Chciałbym, żeby panna Lusia obdarzała mnie chociaż częścią tego zaufania, jakie mam u ciotki. A teraz muszę panie pożegnać!

— Co? Nie zostanie pan na herbacie? Zaraz podają podwieczorek...

— Niestety, śpieszę się bardzo! Ale będę w Żarkowicach

w tych dniach... Do widzenia!

Przed tarasem stała para ładnie utrzymanych szpaków, zaprzężonych do bryczki.

Pan Kazimierz, pożegnawszy się, wsiadał już do bryczki, gdy podbiegła doń Lusia.

— Proszę pana, gdzie pan mieszka? — zapytała półgłosem. Pan Łapiński spojrzał na nią ze zdziwieniem, ale natychmiast z wielką uprzejmością wyciągnął bilet wizytowy i podał

go Lusi.

— Oto mój adres. Lecz czy mógłbym wiedzieć, do czego może być on potrzebny miłej panience?

Lusia zmieszała się.

— Nie wiem w tej chwili — przyznała szczerze. — Nie mogę jeszcze zrozumieć, co się tu dzieje. Ale zdaje mi się, że ciocia Żarkowska potrzebuje pomocy, potrzebuje, by ktoś nad nią czuwał. I sądzę, że może będę potrzebowała pana rady, jak zrobić, by jej było dobrze.

38

Niebieskie oczy pana Łapińskiego zalśniły dziwnie i można było przypuszczać, że błysnęły w nich łzy. Chwył drobne dłonie Lusi i ściskając je mocno, mówił wzruszonym głosem:

— Dobrze, kochane dziecko! Bóg cię widać tu zesłał, jako słoneczny promyk, szczęście przynoszący! Obyś zdołała osłodzić życie tej wyjątkowej istocie o przepięknym sercu i kryształowej duszy!

— Och! Coż ja, taka Figa, zrobić mogę! O, gdybym była dorosła i duża, to co innego! — szepnęła ze smutkiem Lusia.

— Nie wiadomo czy dobre, kochane serduszek dziecięce nie potrafi czasem więcej zdziałać, niż rozum dorosłego człowieka! Ale o tym pogadamy, gdy się znów zobaczymy. Teraz muszę się śpieszyć. A proszę pamiętać, że jestem zawsze do usług!

Lusia chwilę patrzyła za odjeżdżającą bryczką, potem odwróciła się i weszła na taras.

Działo się z nią coś dziwnego. To, co spotykała od chwili przyjazdu na stację, było tak różne od tego, czego się spodziewała, iż chwilami zdawało jej się, że wszystko jest jakimś dziwnym snem, a nie rzeczywistością. Z jednego zdawała sobie jednak dokładnie sprawę: pobyt jej w Żarkowicach nie będzie spokojnym, beztruskim życiem, w którym „pieczone gołąbki idą same do gąbki"! Mimo bogatego dworu, pięknych mebli, wielkich łąnów przepięknego zboża, pani Żarkowska cierpiała niedostatek. I z tym niedostatkiem po raz pierwszy w życiu miała się zetknąć Lusia.

Toteż przychodziły chwile, że chciała uciekać stąd natychmiast. Początkowo powstrzymywała ją od tego zamiaru jedynie myśl, że musiałyby wrócić do domu za pieniądze podarowane jej przez znenawidzoną macochę, że musiałyby wrócić do niej właśnie.

Teraz jednak wstrzymywało ją od chęci natychmiastowego wyjazdu — coś innego jeszcze!

W uszach brzmiały jej przecudne melodie, wychodzące spod długich, białych palców, przed oczami stała drobna, harmo-

39

nijna postać pani Zarkowskiej i pociągała ku sobie urokiem wielkiej dobroci i przedziwnej słodyczy.

I to, co powiedziała panu Łapińskiemu, czuła coraz mocniej: pani Zarkowska potrzebowała pomocy, opieki.

Czyżby ona, Lusia, nic nie znacząca Figa, mogła coś pomóc, coś zrobić dla niej?!

— Jesteś, kochanie! Chodźże prędeż! Musisz być wygłodniała jak młody wilczek! — rozległ się koło niej melodyjny głos pani Zarkowskiej, która objąwszy serdecznie Lusię, pociągnęła ją za sobą do jadalnego pokoju.

Był on, tak jak wszystkie pokoje we dworze żarkowickim, duży, jasny i pięknie umeblowany, ale tak, jak wszystko tutaj, zaniedbany i zniszczony.

Na wspaniałych dwóch kredensach gdańskich pełno było kurzu, który pstrzył ciemny kolor dębu przykrymi, brudnoszarymi plamami. Bogate ozdoby były poobtlukiwane, a kilka krzesel i foteli, ustawionych pod ścianami, miało połamane nogi.

Jeden koniec wielkiego, ciężkiego stołu przykryty był kawałkiem niezbyt czystego obrusa, na którym stało kilka naczyń porcelanowych, poobtlukiwanych i niedbale ustawionych. Między nimi widać było w zwyczajnym koszyczku parę bułek i kilka kawałków chleba.

Lusia, przyzwyczajona do bardzo starannego nakrycia w domu, obrzuciła stół przerażonym wzrokiem, co widać spostrzegła pani Zarkowska, gdyż na twarzy jej wystąpiły dwie krwiste plamy, a łagodne, niebieskie oczy rozbłyły gniewem.

Podbiegła drobnymi kroczkami do stołu i nacisnęła gwałtownie dzwonek, raz, drugi, trzeci...

Za drzwiami rozległy się ciężkie kroki, po chwili drzwi otworzyły się z trzaskiem i na progu stanęła znana już Lusi postaci tak zwanej gosposi.

— A co tam takiego? — zapytała opryskliwym głosem. Pani Zarkowska wskazała ręką stół.

— Zabrać to wszystko i nakryć porządnie! — rozkazała głosem, który stracił w tej chwili swą zwykłą miękkość i me-lodyjność.

40

— Cóż to znów nowego? Niedobrze nakryte! Właśnie! Niby ja mam czas cackać się ze wszystkim! A jak się komu nie podoba moja robota, to proszę mi wypłacić i mogę sobie pójść! — krzyczała kobieta coraz bardziej podniesionym głosem.

Lusia patrzyła z przerażeniem to na panią Zarkowska, która była teraz tak blada, jakby w niej nie było kropli krwi, to na podpartą pod boki gospodynię, o wyzywającym, złym spojrzeniu, i znów nie mogła zrozumieć, co to znaczy. Przecież ta kobieta zachowuje się tak, jakby to ona była tu panią, ona rządziła wszystkim.

Pani Zarkowska po chwilowym wybuchu zamilkła i stała bezradnie, nie wiedząc, co robić dalej.

— Niech gospośia da czysty obrus! — zupełnie już innym, niemal pokornym tonem szepnęła pani Zarkowska.

— Właśnie! A skąd wziąć mydła na pranie!? Przecież prosiłam o pieniądze, bo na kredyt nikt mi nie da!
— krzyczała dalej gospodyni, ale nagle umilkła, opuściła ręce, którymi podpierała boki i stała z na pół otwartymi ustami, nie dokończywszy potoku słów.

Z przeciwległych drzwi wielkimi, zamaszystymi, lecz bezszelestnymi krokami podeszła do stołu bardzo wysoka i bardzo chuda kobieta, owinięta jaskrawą, dużą chustką.

Musiła być bardzo stara, gdyż cała twarz o spiczastym nosie i kanciastej, wystającej brodzie, pokryta była siecią zmarszczek, przecinających się we wszystkich kierunkach, a włosy, wystające spod staroświeckiego wielkiego czepca, były zupełnie białe.

Lusia nie mogła się oprzeć uczuciu pewnej trwogi. Tak właśnie musiała wyglądać baba jaga z bajki!

Spod kwiciastej chustki wysunęły się dwie kościste ręce i szybko poczęły zdejmować brudne nakrycie.

W pewnej chwili spod szarych, krzaczastych brwi wybiegło spojrzenie w stronę gospodyni, która wnet przydreptała do stołu, posłusznie zebrała nakrycie podane jej przez... babę jagę... i potulnie wyniosła je z pokoju.

41

Ta zaś, tymi samymi wielkimi, posuwistymi krokami podeszła do kredensu, wyjęła z niego obrus, talerzyki, filiżanki i nadzwyczaj zręcznie zaczęła nakrywać.

Jednocześnie zjawiła się znów gospodyni, która z miłym uśmiechem ustawiała świeżutkie bułeczki, pachnący chleb, masło, miód, śmietankę i wonną kawę.

42

Lusia patrzyła ze zdumieniem na tę raptowną zmianę, która jednak zdawała się zupełnie nie dziwić pani Żarkowskiej.

— Siadaj, maleńka, i jedz! A nie rób ceremonii, bo musiałaś się porządnie wygłodzić. Chyba, że nie lubisz takich wiejskich przysmaków.

— Ależ przeciwnie! Nigdy w Warszawie chleb tak nie pachnie, nigdy miód nie ma takiego pięknego, złocistego koloru! — zachwyciła się szczerze Lusia, a jednocześnie bez ustanku powracała wzrokiem do dziwnej postaci w czepcu, która teraz stanęła za fotelem pani Żarkowskiej, nieruchoma, wyprostowana, milcząca; tylko żywo biegające, błyszczące oczy pracowały bez ustanku, a widać spojrzenie ich miało wielką siłę, bo butna gospodyni krzątała się jak fryga, usługując, podając, prześcigając się wprost w uprzejmości.

Pani Żarkowska odzyskała swą ujmującą słodycz, uśmiechała się swobodnie, a w jej niebieskich oczach pojawiały się chwilami takie wesołe błyski, jakby była małym, rozbawionym dziewczętkiem.

— A teraz, kochanie, zapraszam cię na małą przechadzkę po parku! Pokażę ci moje ukochane drzewa. Och! Wielu z nich ocalałam życie. Wiele wyrwałam niemal spod ostrza siekiery! Chodź! Do kolacji mamy jeszcze dużo czasu.

— Do kolacji! — zaśmiała się Lusia. — Po takim obfitym posiłku jeszcze kolacja! Ależ cioteczko, nie podołam!

— No! No! Nic nie mów! Powietrze wiejskie robi swoje. A teraz chodźmy!

Lusia ociągała się z wyjściem, _ ze względu na tajemniczą istotę w czepcu, do której pani Żarkowska uśmiechnęła się serdecznie, pozdrawiając ją nieznacznym ruchem ręki. Dziewczynka miała wielką ochotę zobaczyć, co będzie robiła dalej baba jaga: czy zostanie, czy pójdzie za panią Żarkowska, jak wierny i pilnujący ją cień.

Ale ciotka ujęła ją za rękę i pociągnęła za sobą.

— Chodź! Chodź! Tak rzadko zdarza mi się sposobność pokazywania komuś moich faworytów. A zdaje mi się, że zdobędą twoją sympatię, że będziesz w nich widziała przyjaciół, tak jak ja.

43

— O, patrz! — zawołała po chwili. — Te dwa kasztany! Prawda, jakie wspaniałe! A wyobraź sobie, że chcieli je wyciąć, bo nie dopuszczają światła i słońca do niektórych pokoiów...

— Rzeczywiście! — szepnęła nieśmiało Lusia. — Są bardzo piękne, ale obawiam się, że w tych pokojach, przed którymi stoją, musi być zupełnie ciemno.

— Ciemno i jest nawet trochę wilgoci. No, ale przecież z tego powodu nie można ścinać przepięknych drzew! Zwróć uwagę na ich pnie! Kilku dorosłych ludzi ledwie zdoła je objąć rozpostartymi ramionami.

— Są naprawdę nadzwyczajne! Nie widziałam jeszcze podobnych drzew. Ale, cioteczko, co znaczy ta głęboka szrama na dole, u tego kasztana na lewo?

Pani Żarkowska zasępiła się.

— Och! To właśnie to, o czym wspomniałam! Chcieli ściąć ten kasztan, żeby było więcej słońca we dworze! Chcieli to zrobić bez mojej zgody. Zaczęli ciąć o świcie... Widzisz, ja często, usiadłszy do fortepianu, siedzę przy nim do bardzo późnej godziny i gram... Potem jestem, naturalnie, zmęczona i śpię kamiennym snem, a co gorsza, dość długo, co właściwie na wsi jest niedopuszczalne! Zaczęli ciąć, myśląc, iż się nie obudzę! Tymczasem pierwsze uderzenie topora porwało mnie na nogi!

Wypadłam do parku!

Świsnął w powietrzu topór, opadł na twarde, nieustępliwe drzewo!

Matko Boska! Tak, jakby mi kto nóż w żywe ciało wrzynał!

„Co wy robicie?” — krzyknęłam przyskakując do trzech ludzi, z których jeden podnosił znów topór.

„A ścinamy drzewo” — odparli spokojnie.

Byli to obcy ludzie, nie moi.

„Kto wam pozwolił! Wynoście się stąd natychmiast!”

„Robimy, co nam pan kazał. Nikt inny nic do nas nie ma!” — odparli zuchwale.

„Pan Rudolf?” — zapytałam.

44

„A któż by inny?! Pewnie, że on!”

— Któż to jest ten pan Rudolf? — wtrąciła Lusia, słuchająca z przejęciem opowiadania pani Żarkowskiej.

— To mój siostrzeniec. Ma tu niedaleko niewielki folwark, który odziedziczył po świętej pamięci mojej siostrze... Jest bardzo energiczny i obrotny. Trochę się opiekuje mną i Żarkowicami. Otóż to on kazał ściąć kasztany, przez troskliwość o mnie. Obawiał się, by nie zakradła się wilgoć w domu! — tłumaczyła trochę niepewnym głosem pani Żarkowska. — Rudolf bardzo ostro trzyma swoją służbę! Każdy jego rozkaz musi być spełniony bez zastrzeżeń! Toteż topory, nie zważając na mój protest, znów się podniosły, by za chwilę opaść na pień nieszczęsnego drzewa.

Jeszcze kilka takich uderzeń, i będzie za późno na ratunek.

Podbiegłam do drzewa, zasłoniłam je sobą... Och! Możesz sobie wyobrazić, jak moja mała figurka wygląda przy tym olbrzymie!

(Figa! Taka sama figa jak ja! Tylko dorosła! — przebiegło przez myśl Lusi.)

„Odejdź tam! — krzyknął jeden z drwali. — Nie przeszkadzać!”

A gdy stałam nieruchomie, drugi krzyknął:

„Usuń tę drobinę. Jeden palec wystarczy!”

I byliby mnie pewnie przemocą odsunęli i mój kochany kasztan padłby pod ich ciosami, gdyby nie — Iwona!

— Iwona? A to znów kto taki?

— Widziałaś ją! Jest to bardzo nieszczęśliwe stworzenie! Była w naszej rodzinie od dawna. Trochę gospodyni, więcej dobry, serdeczny przyjaciel. Podczas wojny straciła jednego dnia trzech synów. To jej odjęło zmysły. Niby jest przytomna, ale od chwili, gdy przyszła ta wiadomość, nie wymówiła ani słowa. Zdaje się też, jakby nic nie słyszała. Z ludźmi nie obcuje zupełnie, ale zjawia się zawsze, gdy nie mogę sobie z czymś dać rady, gdy mi jest potrzebna!

— Tak jak dzisiaj! — szepnęła Lusia.

45

— Właśnie! Iwona nigdy nikomu nic nie zrobiła, a jednak wszyscy boją jej się strasznie! Bez słowa, wzrokiem jedynie wydaje rozkazy, których wszyscy słuchają bez najmniejszego protestu.

I wtedy tak się stało. Zjawiała się zupełnie niespodziewanie, spojrzała tymi swoimi dziwnymi oczami, wyciągnęła rękę, wskazując ścieżkę wiodącą do bramy.

Drwale pomruczeli coś, lecz bez słowa zabrali siekiery, nacisnęli czapki na głowy i poszli.

— Miałam potem, wprawdzie, przeprawę z Rudolfem, no, ale kasztan ocalał! — kończyła pani Żarkowska, rozpromienionymi oczami wodząc po olbrzymich konarach drzewa.

Gdy Lusia, obejrzawszy jeszcze kilkanaście prawdziwie pięknych okazów i wysłuchawszy historii niemal każdego z nich, wróciła z panią Żarkowska do domu, poczuła nagle takie zmęczenie i senność, iż, podziękowawszy uprzejmie za proponowaną jej kolację, poszła do swego pokoju na górę i mniej starannie niż zwykle umywszy się i rozebrawszy, rzuciła się na łóżko.

Sen natychmiast skleił jej powieki, nie pozwoliwszy nawet na zastanowienie się nad tym, co przeżyła w ciągu tego dnia.

Gdy się ocknęła z pierwszego, kamiennego snu, usłyszała jakieś delikatne dźwięki, płynące równą, niezmaconą falą.

Co to? Czyżby muzyka z kościoła? Organy? Nie! Po pilniejszym wsłuchaniu się, zrozumiała, że to fortepian!

Więc to pani Żarkowska grała. Grała zapewne przez całą noc!

Jakiś zegar z dołu wybił uroczystym głosem godzinę drugą. W tej samej chwili muzyka umilkła.

Lusia przedstawiła sobie w myśli duży salon, skąpo oświetlony świecami przy fortepianie. Przy nim drobną, wykwinną postać o bieluteńkich włosach i natchnionej twarzy.

Długie białe palce na pożegnanie pieszczotliwie przeciągają po klawiaturze, oczy uśmiechają się do ulubionego sprzętu...

Lusia ponownie przymknęła oczy.

46

— Dziwna jest ciocia Żarkowska. Ale bardzo, bardzo kochana. Tylko nie rozumiem, co się wokoło niej dzieje. Za mała jestem na to... gdybym mogła komuś wszystko opowiedzieć... O, gdyby tak Andrzej...

Dalsze myśli uciekły znowu. Spłoszył je ponowny sen, który trwał snąc bardzo długo, bo Lusię zbudziło głośne stuknięcie drzwi.

Otworzyła oczy i zobaczyła gospodynię chmurną i złą. Stawiała ze stukiem dzbanek wody, a rzuciwszy złymi oczami w stronę dziewczynki, mruknęła opryskliwie:

47

— Trzeba wcześniej wstawać! Tu nie ma komu posługiwać... Ja wszystkiemu podołać nie mogę... A i gości od rana nie trzeba naprowadzać. Nikt tam na to nie ma czasu!

Lusię, słuchającą z początku z pewnym lękiem nieuprzejmego tonu, uderzyły słowa — „nie trzeba sprowadzać gości”.

— Jakich gości? — zapytała żywo.

— A no, jest tu taki wielki, chudy jak tyczka...

— To Andrzej! — wykrzyknęła Lusia, wyskakując z łóżka. — Och! Gosposiu! Proszę mu powiedzieć, że ja zaraz będę gotowa.

— Właśnie! Nic innego nie mam do roboty, tylko po schodach się uganiać i rozmówki jakieś z obcymi dryblasami prowadzić! Niech sobie poczeka na werandzie! A jakże! Ogrodniczym wozem przyjechał, to może czekać.

Lusia tym razem nie obruszyła się na opryskliwy ton i niezbyt uprzejme słowa gospodyni. Zaczynała się już przyzwyczai-

48

jać do tego, że ludzie w Zarkowicach są niegrzeczni. Zresztą w tej chwili obchodziło ją przede wszystkim to, że Andrzej przyjechał. Uważała go od chwili przyjazdu za swego opiekuna i teraz spodziewała się, że jej pomoże wytłumaczyć wiele niezrozumiałych dla niej rzeczy, wyjaśni je i pouczy, jak ma dalej postępować.

Toteż ubierała się z niezwykłą u niej szybkością i jak huragan zbiegła na dół.

— Andrzej! — krzyknęła zobaczywszy siedzącego na poręczu krzesła długiego chłopca i jakby to był ktoś z bardzo bliskich krewnych czy przyjaciół, rzuciła mu się na szyję.

— Ach! Figa! Och! Przepraszam! Lusiu! Jesteś przemiła — zawołał Andrzej, widocznie uradowany tak serdecznym przyjęciem. — A już myślałem, że cię nie zobaczę! Pusto tu wszędzie, głucho, jakby ludzi nie było. A jedyne zjawisko — to jest ta czarownica z wściekłymi oczami. Zaczęło mi się wydawać, że jestem w zaklętym dworze, strzeżonym przez złe duchy!

— Żartujesz, Andrzej, ale w twoim żarcie jest jakby prawda! Dziwne tu jest wszystko i naprawdę, gdyby nie ciocia Żarkowska, to bym stąd uciekła od razu.

— Właśnie o panią Żarkowską chciałem zapytać.

— Jest po prostu zachwycająca! Dość z nią pobycić kilka chwil, by ją pokochać! — entuzjasmowała się Lusia.

— No, to dobrze! Reszta — bajki! Jakoś sobie z tym poradzimy. No, ale może byśmy gdzieś weszli?

Lusia zawstydyła się, że trzymała dotąd gościa na dworze. Ale gdzie go prosić? Do którego z pięknych, ale bardzo zaniedbanych salonów? Ale tam nie można by swobodnie mówić, bo każdej chwili mogła wpaść gospodyni, naturalnie bez zapukania... A nawet, kto wie? mogła podsłuchiwać pod drzwiami.

A Lusia chciała rozmówić się z Andrzejem szczerze, opowiedzieć mu wszystkie swoje wątpliwości, prosić o radę...

W tej chwili żołądek przypomniał jej o swojej obecności, bo przecież Lusia nie jadła śniadania.

4 — Figa

49

A może i Andrzej również jest bez śniadania? Przecież przyjechał tak wcześnie? Ale znów jeżeli go zaprosi, gospodyni może zrobić jakąś niegrzeczność, swoim zwyczajem powiedziec coś nieuprzejmego...

Stała więc Lusia zakłopotana i niezdecydowana, ale na szczęście Andrzej zdecydował za nią.

— Pójdziemy do parku, który jest podobno śliczny. Będziemy mogli swobodniej rozmawiać! — zaproponował.

Lusia zgodziła się chętnie. Jakoś tam z głodem sobie poradzi...

Lecz i tu znów przyszedł z pomocą Andrzej, który wyciągnął z wozu ogrodniczego, na którym przyjechał, koszyczek, szczelnie zapełniony.

— Weźmiemy to z sobą. Bo, wyobraź sobie, moje praco-dawczynie, wszystkie dość ciężkiej wagi, od pierwszej chwili zawzięły się na moją chudość i postanowiły sobie za wszelką cenę utuczyć mnie! Więc nawet na tę krótką wycieczkę do Żarkowic naładowały mi zapasów. Może się znajdzie coś smacznego, czego i ty zechcesz pokosztować.

Znalazło się i to dużo, więc gdy Lusia zaprowadziła Andrzeja pod wspaniały kasztan, którego historię opowiedziała jej wczoraj ciocia Zarkowska, nie dała się długo prosić, gdy Andrzej powyjmował z koszyczka różne zapasy i zachęcał, by ich skosztowała.

— Trafiliem doskonale! — opowiadał, udając, że nie zwraca uwagi na apetyt, z jakim Lusia chrupała świeże bułeczki, obficie obłożone pachnącą, soczystą szynką. — Moi chlebodawcy traktują mnie jak zaczarowanego królewicza, który raczył wypadkiem wstąpić w ich skromne progi. Przygotowali mi nadzwyczajne przyjęcie. Pokój mam duży, słoneczny, widny. Zdaje mi się, że ściągnięto do niego najlepsze meble z całego mieszkania, a może nawet z trzech mieszkań, bo, jak wiesz, jestem „nauczycielem” trzech malców z trzech różnych domów. Co chwila ktoś mnie pyta, czy mi czego nie

potrzeba, czy mi czego nie brak, czy się dobrze czuję... No, mówię ci, przedobrzy ludziska! I chłopaki miłe, choć, zdaje się, trochę

50

tępe... No, zobaczymy! Jutro zaczynam z nimi lekcje, bo moi chlebodawcy ani rusz nie chcieli się zgodzić, bym dziś zaczął pracę.

„Musi pan odpocząć po takiej podróży!” — zdecydowała stanowczo pani Tymdyryndzina. Tak się nazywają chlebodawcy, u których mieszkam.

Lusia miała ochotę roześmiać się, tak zabawne wydało jej się to nazwisko, ale właśnie włożyła do buzi spory kawałek wybornego ciasta, więc tylko oczy jej się zaśmiały, podczas gdy buzia pracowała dalej.

— Może bym się uparł i jednak zaczął od razu wkładać mądrość w głowy moich uczniów, ale pomyślałem sobie, że mogę skorzystać z tego urlopu, by się dowiedzieć, co u ciebie słychać. No, i przyjechałem! — kończył opowiadanie Andrzej..

Lusia również skończyła zajadanie ciasta, co jej pozwoliło wykrzyknąć szczerze:

— Jakiś ty dobry, Andrzej! Nawet się nie spodziewałeś, ile dobrego zrobiłeś swoim przyjazdem. Bo ja tu nie umiem sobie poradzić z tym wszystkim, co mnie otacza. To tylko wiem, że ciocia Zarkowska jest strasznie kochana, strasznie dobra, ale — zdaje się — bardzo nieszczęśliwa. Posłuchaj sam!

I Lusia, rozejrzawszy się, czy nie dostrzeże gdzie jakiegoś niepotrzebnego świadka rozmowy, zaczęła opowiadać Andrzejowi bardzo dokładnie o wszystkim, co zastała w Żarkowi-cach.

Chłopiec słuchał uważnie, aż dwie głębokie zmarszczki wystąpiły na wysokim, gładkim czole.

— Tak! Tu coś jest nie w porządku! — rzekł, gdy Lusia skończyła mówić. — Ale zdaje mi się, iż bardzo dobrze się stało, że tu przyjechałeś! Pani Zarkowska najwidoczniej potrzebuje opieki i pomocy!

— Ależ, Andrzej! Przecież ja jej tego dać nie mogę! Pomyśl — taka Figa! Co ja mogę zrobić! — wykrzyknęła Lusia.

X- Och! Nie myśl ciągle o swoim wzroście! Tu więcej może zdziałać dobre, dzielne serce niż pięść. A zresztą, jakby

51

potrzebna była pięść — to przecież do mnie niedaleko! Stawię się zawsze na zawołanie! — mówił pół żartem, pół serio Andrzej.

Lusia westchnęła.

— Gdybym była taka duża jak ty, może bym mogła coś zrobić! Krzyknęłabym na przykład groźnie i gospodyni nie śmiałaby tak niegrzecznie odzywać się do cioci Żarkowskiej.

W tej chwili od strony dworku napłynęły dźwięki muzyki. Luscia chwyciła Andrzeja za rękę.

— Słyszysz? To ciocia gra!

Oboje podnieśli się z ławki i cichymi krokami, jakby obawiali się spłoszyć melodie rozplywające się delikatnymi falami między przepięknymi drzewami parku, zbliżali się do dworu.

— Ależ to prawdziwa artystka! — szepnął w pewnej chwili Andrzej.

Lusia kiwnęła potakująco główką.

Stanęli pod otwartym oknem salonu, gdzie pani Żarkowska grała. Luscia słuchała nie widząc nic, ale olbrzymi wzrost Andrzeja pozwolił mu zajrzeć do środka i zobaczyć siedzącą przy fortepianie panią Żarkowską, tak pochłoniętą muzyką, iż zdawało się, że o świecie zapomniała.

Wzrok Andrzeja błądził po całym salonie, pełnym pięknych, drogocennych antyków, zakurzonych, niedbale ustawionych, zatrzymywał się na kilku starych portretach, ale wracał bezustannie do wątej postaci, siedzącej przy fortepianie.

Nagle rozległ się skrzyp otwieranych drzwi i łomot nóg, stąpających ciężko po podłodze, a jednocześnie rozległ się gderliwy, zuchwały głos:

— Niech już pani raz przestanie z tym graniem! Chleba ono nikomu nie da! A mnie tu ręce opadają... Jeszcze sobie pani gości naspraszała, to niech pani przynajmniej powie, co im dać jeść...

Pani Żarkowska, przestraszona, zerwała się z taboretu, ale opadła nań jeszcze prędszej, zupełnie już nie rozumiejąc, co się dzieje, bo oto okno przesadziła jakaś nieskończenie długa i cienka istota, paru wielkimi susami doskoczyła do grubej

52

gospodyni, zakręciła nią w kółko i wypchnęła za drzwi, nim ta zdążyła się zorientować, co się z nią dzieje. — Jezus! Mario! — krzyknęła pobladłymi ustami pani Żarkowska, rozszerzonymi z przerażenia oczami wpatrując się w dryblasę, który stał teraz przed nią, kłaniając się nisko, z wielkim szacunkiem.

53

— Bardzo przepraszam za moje niespodziewane wtargnięcie... Ale nie mogłem wytrzymać... Każdego, kto by się ośmielił przerwać tak piękną muzykę, wyrzuciłbym tak samo za drzwi.

Pani Żarkowska, spojrzawszy na sympatyczną twarz wysokiego chłopca, który był teraz trochę zawstydzony swoim gwałtownym czynem, uspokoiła się natychmiast, ale była niezmiernie zdziwiona.

— Skąd się pan tu wziął? I kto pan jest? — zapytała swym miłym, melodyjnym głosem.

— Jestem Andrzej Winiarski. A przyszedłem stamtąd! Tu Andrzej wskazał ręką okno.

Pani Żarkowska roześmiała się, zupełnie już zapomniawszy o przestraszu, jaki wywołało niespodziewane pojawienie się wysokiego chłopca.

— Bardzo mi przyjemnie poznać pana. Ale przyznaję, że ani pana nazwisko, ani wskazanie drogi, którą pan wszedł, niewiele mi wyjaśnia.

— To prawda! — przyznał Andrzej. — Ale to wszystko wyjaśni Lusiu. Lusi! Lusińko! Gdzie jesteś?

Andrzej doskoczył do okna, pod którym stała Lusiu, oszołomiona, nie mogąc zrozumieć, co się stało z Andrzejem.

— Lusi, chodź prędzej, bo pani Żarkowska może sobie pomyśleć, że jestem jakimś bandytą, rozbójnikiem, albo jeszcze co gorszego.

To mówiąc, Andrzej wychylił się przez okno, wyciągnął swe niezmiernie długie ręce, chwycił Lusię i jakby była małą laleczką, uniósł ją w górę i ustawił na podłodze.

— Widzę, że okno zaczyna na stałe zastępować drzwi!... — śmiała się coraz bardziej rozbawiona pani Żarkowska. — Ale może mi wyjaśnisz, Lusińko, skąd się tu wziął twój olbrzymi znajomy?

— Sucha Tyczka nazywają mnie najczęściej, zupełnie zresztą słusznie! — z humorem objaśniał Andrzej.

— Ach, ciociu! To jest nadzwyczajny chłopiec. Poznałam go w drodze. Opiekował się mną. A dziś od razu przyjechał, by się dowiedzieć, jak się czuję!

54

- Jeszcze raz przepraszam za mój szalony postępek. Byłem tak wściekły, że ośmielono się przerwać pani muzykę. Pewnie postąpiłem za gwałtownie... Gotów jestem przeprosić tę grubą osobę!

— O, to zbyteczne! Jestem trochę za słaba dla mojego otoczenia. Po części winne temu moje usposobienie, a może też i mój mały wzrost.

— A czy pani wie, że gdy panią zobaczyłem przy fortepianie, wydała mi się pani dziwnie duża, prawie wielka... — rzekł poważnie Andrzej.

Pani Żarkowska spojrzała z wdzięcznością na chłopca.

— Bo też przy fortepianie jedynie zapominam o mojej małej figurce, czuję się silna i gotowa nawet do walki. Gdyby tak na przykład chciano mi zabrać mojego przyjaciela najdroższego, mój fortepian — o, zdaje mi się, że potrafiłabym wtedy walczyć jak wielkolud!

To mówiąc, pani Żarkowska położyła obie swe ręce na fortepianie z taką serdecznością i czułością, jakby to była jakaś najbliższa jej, żywa istota.

Lusiu spojrzała znów porozumiewawczo na Andrzeja, jakby chciała powiedzieć:

— Nie przesadzałam, prawda? Ciocia jest nadzwyczajna! Andrzej był najzupełniej tego samego zdania i z rosnącym

zachwytem patrzył na panią Żarkowska, która w pewnej chwili oderwała ręce od fortepianu i zwróciła się do Lusi:

— Sądzę, Lusieńko, że zajęłaś się swoim przyjacielem! Poczęstowałaś go śniadaniem?

— Właściwie, to on mnie poczęstował! — niepewnym głosem odparła Lusia.

— Jak to?

— No, bo przywiózł pełny koszyczek przeróżnych dobrych rzeczy. Poszliśmy pod kasztan i rozmawiając jedliśmy...

— Ach! Proszę pani! Moi chlebodawcy, widocznie ze względu na moją długość i chudość, opychają mnie jedzeniem. Więc ubłagałam Lusię, by mi pomogła wypróżnić koszyczek! — mówił szybko Andrzej, obawiając się, by pani Żarkowska

55

nie wytłumaczyła sobie błędnie faktu przywiezienia zapasów na wizytę.

Właściwie nie byłoby to błędne tłumaczenie, gdyż rzeczywiście zacna pani Tymdyryndzina uważała, iż bezpieczniej będzie, gdy Andrzej będzie miał z sobą produkty spożywcze.

— Ja tam nie wiem, jak jest naprawdę. Ale ludzie prawią, że w Żarkowicach czasem nie ma co jeść! — mówiła na odjeźdźnym.

— Skoro jesteście po tak dziwnym śniadaniu i nie jesteście głodni, przygotujcie się na obiad! Bo pan Andrzej zostanie z nami na obiedzie.

— Och! Najchętniej. Tylko proszę o wielką łaskę! Nie pan Andrzej, ale zwyczajnie Andrzej! Nawet Sucha Tyczka! Boja, proszę pani, jestem tylko taki duży, ale w rzeczywistości jestem jeszcze bąk!

— Jesteście oboje przemiłe dzieciaki! — zawołała serdecznie pani Żarkowska. — Bóg mi was zesłał! Jakoś mi raźniej z wami! Świat wydaje się słoneczniejszy, życie miłsze... Przy was zapominam o wszystkich moich troskach, zmartwieniach...

— Na pohybel troskom i zmartwieniom! — krzyknął Andrzej.

— Niech zginą! — zawtórowała mu Lusia. — A teraz cio-teczka pozwoli, że zajmę się obiadem.

— Och! Z moją gosposią czasami trudno sobie poradzić! — westchnęła pani Żarkowska.

— Jakoś damy sobie radę. O ile tylko szanowna gosposia nie będzie chciała się zemścić na mnie za trochę gwałtowną pomoc w wyjściu z pokoju...

— O! Nie ma obawy! Będzie jak trusia, bo poczuła siłę! — z przekonaniem rzekła Lusia.

I rzeczywiście! Gospodyni okazała się bardzo łaskawa, przyrządziła wyśmienity obiad, ani razu nie odezwała się szorstko, a podający do stołu stary służący, którego Lusia zobaczyła po raz pierwszy, zachowywał się tak, jakby obsługiwał osoby co najmniej z książęcego rodu.

56

Andrzej i Lusia byli zachwyceni, tym bardziej że pani Zarkowska uprzyjemniała im czas niezwykle interesującą i miłą rozmową.

— Zdaje mi się, Lusieńko, że nasze obawy i niepokoje są nieuzasadnione! — mówił Andrzej żegnając się z Lusią. — Pani Zarkowska, mimo pozornej słabości, daje sobie doskonale radę ze wszystkim. A że ma trochę kłopotów — ach, Boże! — któż ich nie ma w tych czasach. Pewne zaś niedokładności, jak wystąpienie po ciebie tego skromnego — powiedzmy — zaprzęgu, lub też nieodpowiednie zachowanie się służby, wynikają zapewne z tego, że pani Zarkowska chwilami tak jest pochłonięta muzyką, iż nie zwraca uwagi na niektóre drobnostki.

Tego samego zdania była i Lusia, więc młodzi przyjaciele rozstali się w najlepszych humorach, obiecując sobie, iż widywać się będą jak najczęściej.

— Musimy zrobić jakąś konną wycieczkę! — zaprojektowała w ostatniej chwili Lusia.

— To ty umiesz jeździć konno? — ze zdziwieniem zapytał Andrzej.

— Trochę! Jeździłam konno, gdy byłam z tatusiem u jego przyjaciela na wsi!

— To doskonale! Moi chlebodawcy obiecali mi użyczać wierzchowca w niedzielę!

— Sądzę, że w Żarkowicach znajdzie się też dla mnie jakiś spokojny konik!

Jeszcze jeden uścisk dłoni, jeden serdeczny uśmiech i Andrzej odjechał.

Był bardzo zadowolony ze swej wizyty. Lusię polubił od pierwszego spotkania, a pani Zarkowska wprost oczarowała go. Był przy tym szczerze ucieszony, że pobyt jego małej przyjaciółki na wsi zapowiadał się mile.

Toteż z prawdziwym zdumieniem zobaczył na drugi dzień Lusię, która wpadła na podwórze obejścia ogrodnika na spienionym koniu, rozgorączkowana, zdyszana, z wyrazem grozy w oczach.

57

Andrzej zerwał się od stołu, przy którym siedział odbywając pierwszą lekcję ze swoimi uczniami, i wybiegł na podwórze.

— Lusieńko! Na Boga! Co się stało? — zawołał.

— Andrzej! Ratu! Fortepian! — zsuwając się z konia w ramiona chłopca, jęknęła Lusia.

- Fortepian?! Nie rozumiem!! Opowiedz mi wszystko. Lecz wejdź do domu! Jesteś taka zmęczona!
- Nie mogę! Nie mam czasu! Trzeba ratować ciocię i jej fortepian! — mówiła gorączkowo Lusia, z trudem chwytając powietrze.
- Dobrze! Zrobię wszystko, co zechcesz. Tylko powiedz, o co chodzi? Co się stało?
- Każ osiodłać konia i jedź natychmiast do Żarkowic! Nie pozwól, by zabrano fortepian... Ja jadę do miasta, do pana Łapińskiego i do Urzędu Skarbowego... — mówiła przerywanym głosem Lusia.
- Nic nie rozumiem! Kto ma zabierać fortepian? Kto jest pan Łapiński?
- Przede wszystkim każ osiodłać konia! Nie ma ani chwili do stracenia — niemal rozkazująco krzyknęła Lusia.
- Ależ, Lusieńko! Nie jestem u siebie... Mógłbym poprosić, ale konie są w polu!
- Musisz zaraz jechać! — krzyknęła Lusia, tupnąwszy małą nóżką, a zobaczywszy stojącą na progu tęgą kobietę, w której domyśliła się ogrodniczki, pani Tymdyryndziny, zwróciła się do niej błagalnie:
- Proszę pani! Andrzej musi natychmiast jechać do Żarkowic... Nie można pozwolić, żeby zabrali fortepian.
- To się wi! — odpowiedziała pani Tymdyryndzina, a przyłożywszy do ust obie ręce niby trąbkę, krzyknęła doniosłym głosem: — Wałek! Hej! Wałek! Dawaj tu karego! A chyżo!
- Pan profesor niech się zbiera. Karego w mig osiodłamy. Trza jechać chyżo, bo tam pewnie sekwestrator*... — dodała zwracając się do Andrzeja.

* sekwestrator — urzędnik egzekwujący zaległe podatki i opłaty.

58

- Sekwestrator?
- Tak! Chce zabrać fortepian! Ciocia broni go, a jest taka biała jak papier! Och! Wiem, że tego by nie przeżyła!
- Wałek! Prędzej! — wrzasnął Andrzej, który w tej chwili dopiero zrozumiał tragedię rozgrywającą się we dworze żarko-wickim.

W całym obejściu ogrodniczym zapanował ruch. Pani Tymdyryndzina poganiała wszystkich, wołając bezustannie:

- Prędzej! Prędzej!

Wszyscy mieszkańcy małego, schludnego domu biegali, znosząc, co im się wydało potrzebne do wyjazdu pana „profesora” — a więc siodło, czaprak*, uzdę, nawet szpicrutę. Trzej mali uczniowie Andrzeja

wynosili z mieszkania różne przedmioty: buty pana Tymdyryndy, czapkę sportową, spodnie do konnej jazdy.

Lusia śledziła bystrymi oczami te przygotowania, a gdy zobaczyła chłopaka, wpadającego na podwórze na tęgim, doskonale utrzymanym koniu, uspokoiła się nieco.

— Dziękuję bardzo! — zwróciła się z serdecznym uśmiechem do grubej ogrodniczki. — Teraz już mogę jechać do miasta.

— Do miasta? Po co? — zapytał Andrzej.

— Do Urzędu Skarbowego! Tak powiedział stary Maciej...

— Jak to? Pojedziesz sama? Czy będziesz umiała to załatwić?

— Muszę! Pan Łapiński mi pomoże. Zresztą nie ma innej rady. Liczę na ciebie, Andrzej, że zdołasz tymczasem powstrzymać tych ludzi...

— Postaram się... Ale czy ty, Lusieńko...

Lecz Lusia już nie słuchała. Zręcznym skokiem znalazła się na siodle i śmignąwszy szpicrutą, skierowała konia ku bramie.

— Niech cię Bóg prowadzi, dobre, dzielne dziecko! — wołała za nią pani Tymdyryndzina, kreśląc krzyż w powietrzu.

Na podwórzu, gwarnym przed chwilą i ruchliwym, nastąpiła chwila zupełnej ciszy. Wszyscy podążali wzrokiem za maleńką

* czaprak — przykrycie konia pod siodło.

59

dziewczynką, przylepioną do grzbietu końskiego, i wszystkie usta powtórzyły za ogrodniczką:

— Niech cię Bóg prowadzi, dobre, dzielne dziecko! Lecz energiczna natura pani Tymdyryndziny nie pozwalała

na długie roztkliwianie się. Tu trzeba było czynu, pomocy, więcej jeszcze, niż dobrych słów i życzeń.

Więc za chwilę rozległ się znów jej doniosły głos.

— Walek! Chyżej! Pan profesor już gotów? Adaś! Podaj panu profesorowi „szpicrózgę”. A proszę nie żałować karego!

60

Dostanie podwójny obrok! Walek! Zaprzęgnij gniadą do wózka. Pojedziem do miasta. Może dogonim małą panienkę! Raźniej jej będzie, jak ktoś swój przy niej stanie. Matko Najświętsza! Kto by to pomyślał! Taka figa, a mądre to i dzielne, że niejeden dorosły mógłby pozazdrościć!

Andrzej siedział już na koniu i żegnany życzliwymi spojrzeniami, ruszył wyciągniętym klusem w stronę Żarkowic.

Gdy, przejechawszy kawałek bocznej drogi, wyostał się na szosę, puścił konia galopem. Ogarniał go coraz większy niepokój, tym przykrzejszy, że rozchodził się w dwie przeciwne strony. Tam, szosą w stronę miasta pędzi maleńka dziewczuszka, sama, samiuteńka. Cóż z tego, że ma dzielną naturę i nieustraszone serce! Ale czy jej filigranowa figurka wzbudzi w kimś poszanowanie, posłuch? Czy nie potraktują jej raczej drwiąco? Trochę uspokajała go imponująca postać jego chle-bodawczyni.

— Cóż to za dobrzy ludzie! — przemknęła mu myśl. — Jak ochoczo, bez namysłu pośpieszyli z pomocą. I z jaką subtelnością ta prosta kobieta podążyła za nieznanym jej przed chwilą dzieckiem, by w razie potrzeby, znaleźć się przy jego boku!

A tam znów, w pięknym, starym dworze drobna postać pani Żarkowskiej, walcząca o największy skarb, o największe ukochanie — fortepian!

Prędzej, prędzej znaleźć się przy niej, obronić ją, nie pozwolić na krzywdę!

Ciężki, roboczy koń niechętnie godził się na rolę wyścigowego wierzchowca! Galop zmieniał się w kłus mimo przynagleń Andrzeja i pracy szpicruty. Chłopcu zdawało się, że przebywa drogę do Żarkowic żółtym krokiem i nie mógł się doczekać chwili, gdy skręci w piękną aleję wiodącą do dworu.

Nareszcie!

Koń, zboczywszy z szosy, nabrał fantazji i pokłusował zupełnie przyzwoicie.

Andrzej wpadł przez szeroko otwartą bramę, okrążył klomb i zatrzymał się przed gankiem.

61

Wszędzie, po wszystkich kątach widać było ludzi, ale wszyscy kryli się za drzewami lub krzewami, wszyscy byli zatrwożeni, a jednocześnie zaciekawieni.

Ktoś podszedł do Andrzeja i odebrał od niego konia. Wiele par oczu spoglądało na niego z różnych zakątków z pewnym zdziwieniem i niepokojem.

Nie znano go, nie wiadano kim jest i po co tu przyjechał.

Andrzej szybko wszedł do przedpokoju i kierując się odgłosami rozmowy, udał się do dużego salonu, w którym stał fortepian.

Przecież Luscia wyraźnie mówiła, że chodzi o fortepian, że to jemu grozi niebezpieczeństwo.

Doszły go teraz podniesione głosy, wśród których odróżnił głos pani Żarkowskiej, dziwnie silny i zdecydowany.

— Nie dam! Bierzcie co innego! Fortepianu nie dam!

— Pani dobrodziejko! Proszę nie stawiać oporu! Fortepian został opisany. Mam polecenie zabrać ten właśnie sprzęt. Chyba, że pani dobrodziejka zapłaci...

— Ależ ja przecież wpłaciłam część... Rudolf... przecież...

Andrzej wszedł i zobaczył panią Żarkowską stojącą z rozpostartymi rękami przy fortepianie. Koło niej stał jakiś tęgi mężczyzna, coś jej żywo tłumacząc. Był odwrócony tyłem, więc Andrzej nie mógł dostrzec jego twarzy. Natomiast spotkał się ze wzrokiem wysokiego, trochę przygarbionego pana, o nerwowych ruchach.

Widać było, że wejście wysokiego chłopca zaniepokoiło go.

Przy drzwiach stało dwóch ludzi z pękami postronków i pasów.

Andrzej pochwycił szept mężczyzny, stojącego do niego tyłem.

— Można zaraz dostać zaliczkę na pszenicę. Ciocia tylko podpisze umowę...

— Nie! Dałam słowo panu Łapińskiemu, że tego nie zrobię.

— Ha! W takim razie trudno! Nic tu nie poradzę! — odezwał się głośno tęgi mężczyzna i odwrócił się. Andrzej zobaczył nalaną, czerwoną twarz, wykrzywioną złym grymasem.

62

Chłopiec nie bardzo się orientował w sytuacji, ale instynktownie czuł, że dzieje się tu jakaś krzywda i że on musi coś pomóc.

Jak? Nie miał pojęcia. Na wszelki jednak wypadek wyprostował się, co uczyniło go jeszcze większym i starał się jak najbardziej uwydatnić swoje wspaniałe rozwinięte muskuły.

Teraz wszyscy patrzyli na niego z zaciekawieniem i pewnym niepokojem.

— Kto to jest? — zapytał po chwili gruby jegomość, zwracając się do pani Żarkowskiej.

— Ach! To mój przyjaciel i obrońca! Jak to dobrze, że pan przyjechał! Pan nie pozwoli, by mi zabrano fortepian!... — zawołała pani Żarkowską z widoczną radością, ale nie ruszyła się z miejsca, obawiając się zapewne, by z tej chwili nie skorzystano, by zbliżyć się do fortepianu.

Za to Andrzej podbiegł do niej i stanąwszy obok, umocnił pozycję obronną.

Pani Żarkowską chwyciła go za rękę.

— Nie damy, prawda? Nie damy! — szeptała drżącymi wargami.

— Naturalnie, że nie damy! — odparł z przekonaniem Andrzej i znów wyprostował się, by wydać się jak największym.

Mała, drobna postać pani Żarkowskiej uwydatniała znakomicie jego wzrost, który mu nadawał pozory człowieka dorosłego i to bardzo silnego.

— Jeszcze raz proszę, żeby pani dziedziczka usunęła się od fortepianu, który muszę zabrać — zaczął po pewnej chwili wysoki jegomość, w którym Andrzej domyślił się sekwestrata.

— A ja jeszcze raz mówię, że nie pozwolę ruszyć fortepianu!... — silnym głosem odparła pani Żarkowską.

— W takim razie... (w tej chwili Andrzej pochwycił porozumiewawcze spojrzenie, zamienione między sekwestratorem i tęgim panem) ...będę zmuszony użyć... siły! — mówił trochę niepewnym głosem sekwestrator, rzucając spojrzenie na tęgiego jegomościa, jakby szukając u niego zachęty.

63

Postąpił parę kroków naprzód.

— Stać! — krzyknął Andrzej, wysuwając przed siebie swe potężne pięści.

— Ależ młody człowieku — to gwałt! To opór władzy! — perswadował surowym głosem gruby pan.

— Rudolfie! Przecież on mnie broni! Przecież i ty nie pozwoliłbyś na to, by mnie przemocą usunięto! — szepnęła błagalnym głosem pani Żarkowska.

— Dawałem cioci sposób wyjścia... Można sprzedać pszenicę... — cedził przez zęby pan Rudolf.

— Ależ ty wiesz. Nie mogę przyjąć tych warunków... Pan Rudolf wzruszył ramionami.

— Ha! Więc co ja mam począć? Jestem zupełnie bezsilny. I znów pobiegło zachęcające spojrzenie w stronę sekwestra-

tora.

Ale ten nie zdradzał już tak widocznej chęci zbliżenia się do fortepianu. Dwaj tragarze stojący przy drzwiach również czuli szacunek dla wielkich pięści Andrzeja, gdyż, mimo znaków dawanych przez sekwestrata, nie ruszali się z miejsca.

— I jak to długo, młody człowieku, zamierza pan przeszkadzać nam w spełnieniu naszych czynności? — spytał sekwestrator, starając się nadać swemu głosowi ton uroczysty.

— Tak długo, aż pan otrzyma z Urzędu Skarbowego nakaz odwołujący pana stąd! — odparł Andrzej tonem tak pewnym i spokojnym, jakby to, co mówił, nie ulegało żadnej wątpliwości.

Ton jego i słowa podziałały zarówno na sekwestratora, jak i na pana Rudolfa, który w pierwszej chwili zrobił ruch, jakby zamierzał się rzucić na Andrzeja, lecz powstrzymał się, zadowolając się ironicznym spojrzeniem, którym obrzucił młodego chłopca, podczas gdy sekwestrator zdawał się być nawet zadowolony.

— A no, mogę trochę poczekać! — mruknął pojednawczo. — Zobaczymy!

Andrzeja, mimo pozornego spokoju, ogarniał coraz większy lęk.

64

Któż to miał dokonać tak poważnej rzeczy, jak odwołanie sekwestratora? Kto miał zmienić wyrok na nieszczęśliwy fortepian?

Mała, drobniutka dziewczynka — Figa!

Sama jedna, w nieznanym otoczeniu, wśród nieznanych ludzi, miała dokonać rzeczy, o których dzieci, znacznie większe i starsze od niej, zazwyczaj nic nie wiedzą, których przeważnie nie rozumieją.

A ona? Figa? Czy wie, co, jak i gdzie zrobić? Jak się wziąć do takiej sprawy?

Powiedziano jej, że w Urzędzie Skarbowym można uzyskać wstrzymanie wyroku... Ale jak? Od kogo to zależy?

Andrzejowi przyszło teraz na myśl, iż może lepiej byłoby, gdyby pojechał z Lusią do miasta. Ale czy on potrafiłby tam coś zrobić? Także nic!

Na chwilę uspokoiła go myśl, że dobra ogrodniczka pojechała za Lusią... Ona zapewne więcej jej pomoże, niż on.

Lecz czy zdąży na czas? Czy znajdzie Lusię? Dziewczynka pędziła na doskonałym wierzchowcu, jak prawdziwa amazonka, a pani Tymdyryndzina wlokła się na swoim wózku, zaprzężonym w spastego, ciężkiego konika, nie przyzwyczajonego do pośpiechu, co najmniej o połowę wolniej.

Więc zimny pot zlewał czoło chłopca, który z coraz większym trudem ukrywał targający nim niepokój.

• • •

A na szosie tymczasem turkotał wózek, w którym ogrodniczka, więcej stojąc niż siedząc, wszelkimi sposobami przynaglała do pośpiechu to flegmatycznego Walka, krzyżąc mu nad głową: — Prędszej, gamoniu! Poganiajże! Prędszej! — to jeszcze flegmatyczniejszego konia, wymachując parasolką, z zachęcającymi okrzykami: — Wio, mała! Jazda! Wio!

O dognaniu pędzącej na koniu Lusi nie było jednak mowy!

Dziewczynka w szalonym pędzie wpadła na ulice miasteczka, gdzie zaraz otoczyła ją gromada ciekawskich.

5 - Figa

65

Bo, zaiste, było to w dziejach miasteczka niezwykle zdarzenie! Ni z tego, ni z owego zjawia się na spienionym koniu maleńka istotka, z rozwianym włosiem, z rozpalonymi policzkami i gorejącymi oczami, i nie zwraca najmniejszej uwagi na otoczenie, jakby ją cały świat nie obchodził.

Szuka tylko jakiegoś domu... O!... znalazła. Tu mieszka pan Łapiński.

Lusia zeskoczyła zręcznie z konia i prowadząc go za uzdę aż do samych drzwi ładnego, schludnego dworku, pociągnęła gwałtownie za dzwonek.

66

Niedługo czekała...Drzwi się otworzyły i stanęła w nich czyściutko ubrana dziewczyna.

— Ja do pana Łapińskiego! Chcę się z nim zobaczyć!... — jednym tchem wyrecytowała Lusia.

— Pana nie ma w domu — odpowiedziała dziewczyna, obrzucając ciekawym spojrzeniem drobną postać Lusi.

— Jak to nie ma? A kiedy będzie? — pytała dziewczynka, a w oczach jej zamigotało przerażenie.

— Zwyczajnie, wyjechał! Przyjedzie pewnie wieczorem, a może jutro, a może później — odparła dziewczyna.

— Ależ to niemożliwe! — jęknęła Lusia, czując, że cały jej plan ratunkowy rozsypuje się w gruzy. — Ja muszę się zobaczyć z panem Łapińskim! Mam bardzo ważny interes!

— Cóż ja na to poradzę, panienko! — z wyraźnym współczuciem mówiła dziewczyna. — Nawet nie wiemy, gdzie pan wyjechał... Zawsze ma objazdy w kilka miejsc... A można wiedzieć, o co panience chodzi?

— Ja chciałam... prosić... żeby pan Łapiński... poszedł ze mną... do Urzędu... Skarbowego... — tłumiąc wzbierający w piersiach szloch, jękała Lusia, którą opuściła nagle cała energia.

— Aha! — pokiwała współczująco głową dziewczyna. — Rozumiem! Hm! To nieprzyjemna sprawa. Panienkę przysłali, żeby ratować... Rozumiem. Ale pana nie ma... Cóż! Panienska sama nie poradzi, choćby i poszła do tego urzędu. Chociaż — może? Czasem dziecko więcej zrobi, niż dorosły... Trzeba próbować!

Tak, trzeba próbować! I znów w drobne ciało dziewczynki wstąpiła siła.

— Dziękuję! — szepnęła kiwnąwszy główką, po czym odwróciła się, wskoczyła na konia i odjechała.

Dziewczyna wyszła na próg, patrząc z podziwem za odjeżdżającym dzieckiem.

— No! No! Patrzcie państwo! Taka figa, a na koniu trzyma się jak stary! No! No! Wygląda jak rodzynka na grzbiecie końskim... Niech ją tam Panienska Najświętsza prowadzi!

67

Lusia wpadła na rynek. Zatrzymała konia. Trzeba się dowiedzieć, gdzie jest Urząd Skarbowy.

Zaledwie stanęła, otoczyła ją gromada rozciekawionych niezwykle widokiem ludzi.

— Gdzie tu jest Urząd Skarbowy? — zapytała.

— O!... O!... — padły zdziwione okrzyki. — A cóż takie dziecko ma do Urzędu Skarbowego?

Ale już ktoś informował uprzejmie, że trzeba skręcić na lewo, potem wjechać w wąziutką uliczkę, a tam na samym rogu jest duży dom. To Urząd Skarbowy.

I już ktoś zaofiarował się:

— Ja pokażę! Ja zaprowadzę!

Pokazywano, prowadzono i Lusia, ani wiedząc kiedy, znalazła się przed domem, w którym mieścił się Urząd Skarbowy.

— To tu! — objaśniano. — A do kogo panienska? Do pana naczelnika pierwsze piętro. Lusia zeskoczyła z konia.

— Ja potrzynam! — zaofiarował się jakiś wyrostek. Lusia zawahała się. Jakże tu powierzyć konia zupełnie

obcemu chłopakowi?

Tymczasem wokoło niej skupiło się znów tak dużo ludzi, iż ściągnęło to uwagę posterunkowego, który zbliżył się, wołając:

— Proszę się rozejść! Proszę się rozejść!

Tłum rozstąpił się trochę i posterunkowy ujrzał małą dziewczynkę, trzymającą za uzdę pięknego, rosnącego konia. Lusia, zobaczywszy posterunkowego, ucieszyła się.

— O proszę pana! Niech mi pan poradzi, co mam zrobić! Muszę tutaj wejść, a nie wiem, co zrobić z koniem! — zawołała.

— Hm...konia można tu zostawić, o... chociażby przy tym płocie...

— A pan będzie trochę na niego uważał, prawda? — proszącym tonem rzekła znów Lusia.

— Hm... zrobi się... może panienka być spokojna.

68

— I ja dopilnuję... Toć przecież nie damy dziecku zrobić krzywdy! — dorzucił starszy jegomość, właściciel sklepiku z przyległego domu.

Lusia z zupełnym zaufaniem oddała uzdę posterunkowemu, który przywiązał konia do płotu.

Dziewczynka weszła do środka. Ogarnął ją znów lęk. Przedpokój, do którego weszła, był taki duży i taki wysoki, a ona w nim wydała się sobie jeszcze mniejsza niż zwykle.

Woźny też był strasznie duży, a przy tym takie groźne miał wąsy, iż Lusia zupełnie nie śmiała się ruszyć z miejsca.

Okazało się jednak, że duży wzrost woźnego i jego groźne wąsy nie były w gruncie rzeczy takie straszne, bo oto, zobaczywszy drżącą dziewczynkę, stojącą u wejścia, zbliżył się do niej zaraz i zapytał łagodnie:

— A czego to dziecko chce tutaj?

— Ja... ja... — jękała się Lusia — do pana naczelnika.

— Do pana naczelnika?... No, patrzcie państwo! A czego to dziecko chce od pana naczelnika? — zachęcająco biorąc Lusię za rękę i prowadząc ją w głąb przedpokoju, pytał dalej woźny.

— Cioci Żarkowskiej chcą zabrać fortepian... przyszłam prosić, żeby nie pozwolił! — ośmielona łagodnym, prawie serdecznym tonem zwierzała się Lusia.

Woźny pokiwał głową, jakby nie mógł się uspokoić po otrzymaniu tej odpowiedzi.

— I dziecko tak samo tu przyszło? Nie ma nikogo starszego? — zapytał po chwili.

— Sama jestem, pan Łapiński wyjechał.

— Aha! Rozumiem! No, to idź, dziecko, na górę, na pierwsze piętro. Odprowadziłbym cię i pogadał o tobie z kolegą, ale nie mogą odejść od szatni. Teraz tyle się różnego tałatajstwa włoży... gotów ktoś wpaść... złapać jakieś palto, a ty potem płąć, człowieku. No, idź, dziecko, po tych schodach. I niech cię Bóg prowadzi.

Trochę uspokojona i zachęcona serdecznym obejściem wielkiego woźnego, Lusia poszła na górę. Znalazła się od razu

69

w tłumie ludzi, kręcących się we wszystkie strony, z twarzami zakłopotanymi, czasem nawet zalęknionymi.

Na maleńką dziewczuszkę nikt nie zwracał uwagi, popychając ją, usuwając bezceremonialnie z drogi, czasem nawet obur-kując gniewnie:

— Czego się toto płacze pod nogami!

Lusia czuła, że nie da sobie rady bez czyjejś pomocy i zaczęła się rozglądać wokoło, pod czyją opiekę mogłaby się udać.

O! Doskonale! W kącie przy stoliku siedzi człowiek w takim samym ubraniu, jak tamten na dole.

To woźny!

Śmiało zbliżyła się do stolika, przypominając sobie, jak uprzejmie, nawet serdecznie rozmawiał z nią tamten, choć był taki wielki i miał groźny wygląd.

Ten na górze wyglądał znacznie przyjemniej. Przede wszystkim był małego wzrostu, co Lusię od razu usposobiło dla niego dobrze. Nie miał też groźnych wąsów, które dziewczynkę tak przeraziły w pierwszej chwili.

— Proszę pana! Jak się idzie do naczelnika? — zapytała, stanąwszy tuż przy stoliku.

Woźny odłożył gazetę, którą pilnie czytał i spojrzął ze zdumieniem na drobną postać dziewczynki.

— Hę? Co takiego? — zapytał niemiłym, ostrym głosem, który trochę zmieszał Lusię.

— Chciałam się zobaczyć z panem naczelnikiem — mniej już pewnie odparła.

— Z panem naczelnikiem? Jakim panem naczelnikiem? — mierząc ciągle Lusię zdumionym wzrokiem, pytał niecierpliwie.

— No, z panem naczelnikiem Urzędu Skarbowego.

— Jak? Z panem naczelnikiem Urzędu Skarbowego? Co to za żarty znowu? Co taki brzdąc może mieć za interes do Urzędu Skarbowego?

— Właśnie że mam i to bardzo ważny! Proszę, niech mi pan powie, jak się idzie do pana naczelnika! — prosiła Lusia,

70

robiąc w duchu uwagę, że jednak tamten woźny, choć taki duży i groźnie wyglądający, był znacznie uprzejmniejszy i — lepszy!

Więc ludzie wysokiego wzrostu, których dotąd tak nie lubiła, nie wszyscy są źli, jak sądziła. Nawet są dobrzy. Ten woźny na przykład... A przede wszystkim — Andrzej!

Ach! gdyby tu był Andrzej! Inaczej by z nim rozmawiano, niż z nią, taką Figą!

Ale Andrzej jest teraz daleko, w Żarkowicach.

Boże! Co się tam dzieje? Czy czasem nie zabrano fortepianu? Och! Trzeba się śpieszyć, bo może być za późno!

Nowa energia wstąpiła w Lusię. Nie zważając więc na opryskliwy wyraz twarzy woźnego, powtórzyła swe pytanie.

— E... Nie zawracać mi głowy! Patrzcie ją! Od ziemi jeszcze nie odrosła, a już ją nauczyli po zebraniu chodzić! Figa jedna!

— Ależ ja mam ważny interes... Ja muszę się zobaczyć z panem naczelnikiem...

Te słowa wyprowadziły już zupełnie z równowagi woźnego, któremu słowa małej dziewczynki wydały się kpinami.

Wysunął się zza swego stolika i ujawszy Lusię mocno za rękę, pociągnął ją ku schodom.

— Zmykaj, pókiś cała! — mruczał przy tym gniewnie. — Bo może ci się jeszcze przytrafić coś nieprzyjemnego.

Nie było mowy o oporze! Gdzieżby taka figa mogła się oprzeć sile pana woźnego, chociaż niezbyt dużego i wygimnastykowanego!

Gdyby to tak Andrzej...

Ach! Andrzej! Żarkowice! Fortepian! Ciocia Żarkowska...

Trzeba coś robić...

Rozpaczliwym wzrokiem Lusia rozejrzała się dokoła...

Po schodach, po których przemocą sprowadzał ją woźny, wchodził jakiś pan. Lusia nie dostrzegła, a raczej nie zwracała uwagi na to, czy był małego, czy dużego wzrostu, czy miał wygląd uprzejmy, czy opryskliwy. Wszystko jedno! W tej chwili miał on dla niej znaczenie tylko jako punkt oparcia.

71

Przechodził właśnie koło niej, więc uczepliła się z całej siły jego marynarki, wołając jednocześnie:

— Panie! Niech pan nie pozwoli mnie wyrzucać! Woźny szarpnął silnie dziewczynkę, tak że drobne rączki

wypuściły marynarkę, ale pan wchodzący po schodach zatrzymał się, pytając:

— Co to znaczy, Feliksie? Czego chce tutaj ta mała?

— Żebym to ja wiedział, proszę pana referenta*! Płacze się toto, łązi po kątach, jakieś bzdury gada...
Więc chcę ją wyprowadzić na ulicę, bo przecież nie mam czasu, żeby się nią zajmować...

Ale Lusią, która nabrała nadziei, że nieznajomy może jej coś pomóc, przerwała potok wymowy woźnego.

— Chcę się zobaczyć z naczelnikiem Urzędu Skarbowego. Mam do niego bardzo pilny interes.
Przyjechałam z Zarkowic — mówiła szybko, starając się pewnym głosem zdobyć zaufanie nieznajomego.

— Właśnie! Taka figa z interesem do pana naczelnika — mruzczał gniewnie woźny, ale pan, nazwany referentem, z zainteresowaniem i pewną sympatią spojrział na dziewczynkę.

— Dlaczego Feliks nie chce jej wskazać gabinetu pana naczelnika? Każdy ma prawo zwracać się do niego ze swymi sprawami...

— Ale, panie referencie, taka smarkata...

— Nie wasza to rzecz... Sekretarz naczelnika decyduje, czy przyjąć klienta, a nie wy. Proszę, panienko, za mną. Pokażę, gdzie jest gabinet naczelnika.

Lusia, wypuszczona przez woźnego, pomaszzerowała radośnie za swym przygodnym opiekunem, który, wszedłszy na górę, wskazał jej tłum ludzi gromadzących się pod jakimiś drzwiami.

— To tam! — objaśnił.

— Ach! Ale tam jest tylu ludzi! — przestraszyła się dziewczynka.

* referent — urzędnik prowadzący referat, załatwiający sprawy pewnego działu.

72

— To wszystko interesanci. Będzie panienka musiała poczekać.

— Nie mogę! Muszę się zaraz zobaczyć z naczelnikiem!... — zawołała Lusią i rzuciwszy swego przygodnego opiekuna, podbiegła do tłoczącej się przy drzwiach gromadki ludzi.

— Proszę mnie puścić! Proszę mnie puścić! — krzyczała, energicznie przepychając się między stojącymi.

Ten i ów, zobaczywszy taką okruszynę, usunął się nieco, inni patrzyli ze zdumieniem. Ktoś zapytał:

73

— A gdzie to się panienka pcha?

— Idę do pana naczelnika. Proszę mnie puścić!

— O! Toć i my do pana naczelnika. Skądże to panienka ma być pierwsza? — zapytała gderliwym głosem jakaś jejmość.

- Bo i prawda! Każdy musi czekać swej kolejki! — przy-wtórzył ktoś inny.
- Ale ja mam bardzo pilną sprawę! — broniła się Lusia, na próżno starając się przepchnąć dalej.
- I my też mamy pilne interesy, a każdy czeka, aż na niego przyjdzie kolej.
- Ale ja muszę! — z rozpaczą w głosie krzyczała, bijąc w zamkniętą ścianę ludzką swym małym ciałkiem, jak taranem.
- O! O! Patrzcie ją! Jak się to rozbija! Dzieciuch jeden! Figa zatracona!

Posypały się gniewne okrzyki, wyciągnęły silne, dorosłe ręce... Szarpano Lusię, popychano, chcąc ją usunąć na tył czekającej gromadki.

Dziewczynka krzyczała, broniła się, rozdzielając nadspodziewanie silne kułaki... Powstał harmider, wrzask, zamieszanie...

— Mówiłem, że to jakaś awanturnica, choć taka figa! Już ja ją stąd zaraz zabiorę! — rechotał radośnie woźny i już kładł rękę na ramię dziewczynki, gdy ktoś odepchnął go gwałtownie, a ponad wrzask i hałas ogólny wybił się silny, donośny głos:

— Ludzie! Toć chyba sumienia nie macie, żeby się nad taką okruszyną znęcać! Pomóc dziecku powinniście, na pierwsze miejsce wysunąć, a nie odpychać, szarpać, znieważać! Spójrzcie! Przecież to takie małe, figa taka, a dzielniejsza od wielu dorosłych ludzi. Popatrzcie tylko!

Tu dwie silne ręce porwały Lusię i uniosły w górę, a gromadka ludzi ponad wykrzywionym na bok kapeluszem pani Tymdyryndziny zobaczyła maleńką figurkę, niby lalkę, o buzi zaczerwienionej i drgających jakby do płaczu oczach.

74

Wstyd się jakoś wszystkim zrobiło, a pani Tymdyryndzina, korzystając z ciszy, jaka zapanowała, mówiła dalej głośno i dobitnie:

- To maleństwo przygalopowało na wielkim koniu z Żar-kowic...
- Z Żarkowic...? To jakieś dwanaście kilometrów stąd... — szepnął ktoś.

75

— Może nawet więcej... Przyjechała ta maleńka, dzielna dziewczynka, by ratować fortepian, który jej ciotka bardzo kocha! — ciągnęła dalej pani Tymdyryndzina, trzymając wciąż Lusię w górze ponad głowami ludzkimi.

— O! o! o! — rozległy się ze wszystkich stron okrzyki. Było w nich tylko współczucie i zainteresowanie. Nikt już

nie miał zamiaru odpychać dziewczynki od drzwi. Każdy raczej gotów był ustąpić jej swojego miejsca.

— Spieszyć się musi biedactwo, bo niech taki piękny fortepian na wóz się dostanie, to i po nim. Więc chyba dacie jej pierwszeństwo!

— Damy! Damy! — zakrzyczeli zgodnym chórem wszyscy.

— Co to za krzyki?! Co się tu dzieje! — rozległ się nagle głos pana naczelnika, który wyszedł ze swego gabinetu, do którego snąć dotarły odgłosy tego, co się działo pod drzwiami.

Zapanowała nagle cisza. Wszyscy spojrzeli po sobie zmieszani i trochę zatrwożeni.

— Kto tu tak hałasował? Kto wyprawiał awantury? — poirytowanym tonem pytał naczelnik, szukając wzrokiem woźnego.

Ten przedzierał się przez tłum interesantów, by ze złośliwą radością oskarżyć małą dziewczuszkę, ale ona sama uprzedziła go, wołając cienkim, donośnym głosikiem:

— To ja, panie naczelniku! To wszystko przeze mnie! — przyznawała pokornie.

Naczelnik teraz dopiero spostrzegł małą istotkę, usadzoną na pulchnym ramieniu pani Tymdyryndziny.

— Jak to? Ta figa stała się powodem całej awantury? — zdziwił się naczelnik.

— A tak, panie naczelniku! Małe to, a takie czupurne, że już raz chciałem toto wyrzucić za drzwi! — wtrącił się woźny, lecz naczelnik uciszył go skinieniem ręki, spoglądając wyczekująco na Lusię.

— Więc jak to było? — rzekł znacznie już uprzejmiejszym tonem.

76

Lusię nie dotknął tym razem zniechęcony wyraz — figa! Znadto była pochłonięta sprawą, którą miała załatwić i czuła instynktownie, że trzeba skorzystać z zupełnie niespodziewanej okazji do wypowiedzenia swoich żalów.

— Bo ja chciałam się koniecznie zobaczyć z panem naczelnikiem przed wszystkimi. A ci państwo także mają pilne sprawy, więc z początku nie chcieli mnie puścić. Ale potem się zgodzili, bo im ta dobra pani, co mnie trzyma w górze, wytłumaczyła, o co chodzi! — mówiła dziewczynka pośpiesznie, nie spuszczając trwożnego wzroku z pana naczelnika.

Byle ją tylko wysłuchał! Byleby nie wszedł znowu do swego gabinetu, do którego tak trudno się dostać!

— No, to może i ja bym się dowiedział, o co chodzi? Co to za pilna sprawa? — odparł naczelnik, widocznie rozweselony tą niezwykłą historią.

— Ależ naturalnie! O to przecież chodzi! Po to tu przyjechałam z Żarkowic.

— Z Żarkowic? Od pani Żarkowskiej? — ściągając brwi, spytał naczelnik.

— Właśnie! Właśnie! Cioci Żarkowskiej chcą zabrać fortepian... Podobno pan naczelnik kazał, bo ciocia czegoś nie zapłaciła... Ale ciocia strasznie kocha ten fortepian — i tak ślicznie na nim gra! Panie naczelniku! Ja przyjechałam prosić, żeby nie zabierali tego fortepianu! Ciocia nie umiałaby żyć bez niego... Nie miałyby na czym grać... — mówiła błagalnie Lusia.

Do naczelnika podszedł jakiś młody człowiek i coś mu szeptem tłumaczył.

— Trzeba to sprawdzić... Coś w tym jest niejasnego! — mówił półgłosem naczelnik, a Lusia, która bacznie śledziła każdy jego ruch, każdą zmianę wyrazu twarzy, zabrała znów głos:

— Panie naczelniku! Proszę nie zabierać tego fortepianu... Ciocia zapłaci, tylko trochę później... A tymczasem to ja... — tu Lusia sięgnęła do kieszonki i wyciągnęła stużłotówkę otrzymaną od macochy — o...moje pieniądze, dam... o, proszę, niech pan naczelnik przyjmie tymczasem...

77

Słowom Lusi towarzyszył jakiś dziwny dźwięk.

To pani Tymdyryndzina nie mogła opanować czegoś, co płynęło od serca i za gardło chwytało. Wstyd jej było, ale nie mogła tego zmóc i pochlipywała tak jakoś śmiesznie, a dziwnie przejmująco.

A nie tylko ona, bo taki sam dźwięk odezwał się i w innych miejscach...

— Zobaczmy zaraz... Proszę, niech pan sprawdzi, jak to się stało! — zwrócił się naczelnik do swego sekretarza.

— Może to za mało? Mam jeszcze trochę pieniędzy, które mi zostały po opłaceniu biletu! — mówiła szybko Lusia, szperając w kieszonce.

— To i ja... Pan naczelnik pozwoli... Ja też dołożę... — przerywanym głosem dorzuciła pani Tymdyryndzina, wolną ręką wyciągając ze skórzanej torebki, zawieszanej u pasa pod paltem, szeleszczącą paczuszkę.

— I my... Proszę powiedzieć, ile trzeba, by wykupić ten fortepian — rozległo się kilka głosów.

Naczelnik machnął niecierpliwie ręką.

— Proszę się uspokoić! Żadne składki tu nie są potrzebne. Mój sekretarz zaraz sprawdzi, o co chodzi...

— Ale, panie naczelniku! To jest bardzo pilne. Oni nie będą tak długo czekali! — błagała Lusia.

W tej chwili sekretarz podał naczelnikowi jakieś papiery, które ten przejrzał pośpiesznie.

— To nie jest pismo pani Żarkowskiej... A zresztą wszystko jedno! Na razie trzeba odwołać sekwestratora... Czy w Żarko-wicach jest telefon? — zwrócił się do Lusi.

— Nie ma.

- Hm... Jakim więc sposobem to załatwić? — namyślał się naczelnik.
- Chyba samochodem? — poddał sekretarz.
- Ach! Tak! Doskonale! Ale to są moje godziny przyjęć... A tu tylu interesantów...
- Poczekamy! Poczekamy! — rozległ się zgodny chór głosów.

78

- No, to jedziemy! Moją najmniejszą interesantkę, jaką kiedykolwiek w życiu miałem, zabieram ze sobą! — wesoło zawołał naczelnik.

Ponura, szara poczekalnia, wypełniona zazwyczaj ciężkimi westchnieniami, niespokojnymi spojrzeniami i dręczącym oczekiwaniem, rozjaśniła się nagle, rozweselała i zadźwięczała wesołymi głosami.

- Brawo! Niech żyje pan naczelnik! Wiwat! Niech żyje dzielna dziewczuszka! Brawo! Wiwat!

A pani Tymdyryndzina szepnęła do Lusi:

- O konia może panienka być spokojna. Odprowadzimy go do Żarkowic.
- No! Proszę mi dać moją towarzyszkę podróży! — rzekł z uśmiechem naczelnik, gdy się trochę uspokoiło.

Ogrodniczka chwyciła Lusię w swoje mocne, duże ręce i podała ją niby laleczkę.

Naczelnik wziął dziewczynkę na ręce, a Lusia nieprzytomna z radości, przepętniona wdzięcznością dla wszystkich, ulegając konieczności okazania swoich uczuć, zarzuciła rączki na szyję urzędnika i ucałowała go serdecznie.

- Dziękuję, o, dziękuję!

I znów rozległy się entuzjastyczne okrzyki, zapanowała serdeczna radość i wesołość! Cieszyli się wszyscy i wszyscy z rozrzewnieniem patrzyli na dzielne dziecko, gotowi mu pomagać w dalszym ciągu.

Tylko woźny był niezadowolony. Słychane to rzeczy, żeby w groźnym Urzędzie Skarbowym działy się takie sceny.

I to sam pan naczelnik, taki surowy i poważny zazwyczaj, pozwala na to! Ba! sam z innymi się cieszy i śmieje!

To niesłychane! To niesłychane!

* • •

Andrzej czuł, że sytuacja z każdą chwilą się pogarsza. Czas włókł się niemożliwie, a sekwestrator okazywał coraz większe zniecierpliwienie. Może by zresztą on sam nie był taki groźny,

ale pan Rudolf najwyraźniej podniecał go różnymi złośliwymi uwagami, skierowanymi w stronę Andrzeja.

— Młody człowiek zapewne ma protekcję u samego ministra — sztychł. — A może jakiś amerykański wujaszek przyplynie zza oceanu, by zapłacić należności?

Andrzej nie odpowiadał, jakby to nie do niego mówiono. Starał się za wszelką cenę nie zdradzać niepokoju, ale czuł się coraz bardziej bezsilny i bezradny.

— Czym się to skończy? Szaleństwem jest przypuszczać, żeby Lusia... ach, taka maleńka, taka — Figa! — mogła coś wskórać w Urzędzie Skarbowym. Nawet mówić z nią nie będą chcieli! — rozmyślał rzucając ukradkiem spojrzenia na panią Żarkowską.

Stała ciągle przy fortepianie, obejmując go jedną ręką, podczas gdy drugą opierała o rękę Andrzeja, czasem niespokojnie spoglądając w stronę pana Rudolfa. Cała jej drobna postać, wstrząsana chwilami przeciągłym dreszczem, wyrażała niezłomne postanowienie bronienia fortepianu.

W pewnej chwili pan Rudolf ostentacyjnie wyciągnął duży złoty zegarek, patrząc nań znacząco. Sekwestrator natychmiast zrobił to samo i zachęcony szybkim spojrzeniem pana Rudolfa, odezwał się:

— Ja, niestety, dłużej czekać nie mogę. Muszę więc przystąpić do moich czynności i proszę o niestawianie mi oporu!

Pani Żarkowską zbladła i gorączkowo ścisnęła ramię Andrzeja.

— Och! Pan nie pozwoli, prawda? Pan nie pozwoli? Chłopiec zaciął zęby i przybrał najgroźniejszą postawę, na

jaką tylko mógł się zdobyć, ale czuł, że sprawa jest przegrana, bo przecież nie podobna walczyć z przeciwnikiem, za którym stoi prawo!

Pan Rudolf dał jakiś porozumiewawczy znak sekwestratorowi, który pomrukując coś, usiadł znów, zdecydowany jeszcze na zwłokę, podczas gdy on sam podszedł do pani Żarkowskiej.

— Widzi ciocia, że nic tu nie poradzimy! Albo zabiorą fortepian...

— ...Och! Nie! Nie! Nie dam! — krzyknęła pani Żarkowską.

— ...albo — ciągnął, nie zważając na ten okrzyk, pan Rudolf — ciocia zdecyduje się na tę transakcję z pszenicą. Kupiec jest w kancelarii... Pieniądze ma przy sobie... — rzucił patrząc badawczo na panią Żarkowską.

Andrzej nie znał się na sprawach, które chciał załatwić niesympatyczny grubas, czuł jednak, że dzieje się tu jakieś szachrajstwo, na którym ucierpi ta drobna, bezbronna kobieta, szukająca w nim oparcia i opieki. A on nie miał pojęcia, co robić, by ją obronić, by nie dać jej skrzywdzić.

— Spróbujemy... Może uda się dać jakiś zadatek bez formalnej umowy... Potem będzie to można jakoś załatwić... To człowiek miękki — i ma pieniądze! — kusił dalej pan Rudolf.

— Daję pani jeszcze dziesięć minut czasu! — rozległ się głos sekwestratora.

Pani Żarkowską puściła rękę Andrzeja. Widać było, że nie ma już siły do dalszego oporu.

— Pamiętaj, Rudolfie, że ta pszenica to ostatni ratunek dla Zarkowic. Jeżeli sprzedam ją niekorzystnie, nie wytrzymam! — wyszeptwała.

— O... Przecież ja będę przy tym... Nie dopuszczę do niekorzystnego interesu! — przekonywał pan Rudolf. — Więc chodźmy! Zakończmy tę przykrą scenę!

Pani Żarkowską z ciężkim westchnieniem odsunęła się od fortepianu...

— Proszę... Niech pani jeszcze zaczeka... Jeszcze te dziesięć minut — błagalnie szepnął Andrzej, który czuł niewytłumaczoną niechęć do tego grubego człowieka o czerwonej, pospolitej twarzy.

Pani Żarkowską zawahała się.

— Chodźmy! — syczącym z hamowanej wściekłości głosem mówił pan Rudolf. — Przecież nie będzie ciocia zwracała uwagi na tego wyrostka! Chyba ja zasługuję na jakieś zaufanie.

Lecz pani Żarkowską nie ruszała się z miejsca, mimo że pan Rudolf ujął ją mocno pod rękę i chciał pociągnąć za sobą.

6 — Figa

81

W tej chwili Andrzej pochwycił znów porozumiewawczy ruch w stronę sekwestratora, który podniósł się z miejsca i skinął na drabów stojących nieruchomo przy drzwiach.

— Przyszykować sznury! — wydał głośno rozkaz.

— Nie! Nie dam fortepianu! Nie pozwolę go ruszyć! — krzyknęła pani Żarkowska, swą drobną figurą zasłaniając ukochany sprzęt.

— Dość tych komedii! — ryknął pan Rudolf, brutalnie chwytając panią Żarkowska za ramiona, ale w tej chwili odskoczył, zakławszy szpetnie.

To Andrzej odtrącił go znakomitym chwytem dziudżitsu.

— Co to? Bunt! Opór władzy!! — wrzeszczał pan Rudolf, a jego czerwona twarz nabrała fioletowych odcieni.

— Pan, przede wszystkim, nie jest władzą! Ja zaś jestem harcerzem i nie pozwolę, by ktoś w mojej obecności zachowywał się brutalnie wobec kobiety! — spokojnie odparł Andrzej.

Mimo jednak chwilowego swego zwycięstwa, rozumiał całą groźbę sytuacji. Co będzie, gdy tragarze zbliżą się do fortepianu! Walczyć z nimi?

Gdyby nawet dał radę kilku ludziom, to przecież ten gruby, czerwony Rudolf może zawołać o pomoc i sprowadzić więcej ludzi...

— Niech kawaler ustąpi... I panią proszę usunąć, bo inaczej...

Co robić?

— Niech się ciocia zdecyduje... pieniądze zaraz będą... fortepian ocaleje...

— Boże! Boże! — jęczała pani Żarkowska.

— Zabierać fortepian...

Koło nieruchomego sprzętu zgromadziło się kilku ludzi... Nikt jeszcze nie śmiał go dotknąć, nikt nie śmiał dotknąć drobnej postaci zasłaniającej go sobą, ale jedna chwila, jedna, maleńka, a coś się zdecyduje.

Albo zawrze walka, albo zatriumfuje podstępny grubas, szepczący kusząco: — Sprzedana pszenica ocali fortepian!

— Proszę się usunąć, wzywam po raz ostatni!

82

Andrzej zacisnął pięści, naprężył muskuły.

Trudno! Będzie walczył, gdy zajdzie potrzeba!

— Chyba... już... sprzedam... — wyjąkała pani Żarkowska.

Lecz w tej chwili drzwi otworzyły się gwałtownie i jak huragan wpadła przez nie maleńka dziewczuszka, z rozwianymi włosami, pałającymi policzkami i płonącymi jak dwie najpiękniejsze gwiazdy oczami.

Nad głową powiewała triumfująco ćwiartką papieru.

— Ciociu! Cioteczko! — wołała głosem brzęącym jak srebrny dzwoneczek. — Fortepian uratowany! O! Tu jest papier!

83

Rozległo się głośne przekleństwo i pan Rudolf doskoczył do Lusi, brutalnie wrywając jej papier z ręki.

Ale już znalazł się przy nim Andrzej i pochwycił żelaznym chwytem dużą, pulchną rękę.

— Proszę to oddać! To nie do pana należy! — zawołał.

— Lusu! Lusieńko! Dziecko najdroższe! — szeptała pani Żarkowska, tuląc do siebie dziewczynkę.

— Co to wszystko znaczy? Co to za komedie? Ja na to nie pozwolę! — dął się pan Rudolf, ale zamilkł nagle, spostrzegłszy stojącego w drzwiach naczelnika i jego sekretarza.

— To znaczy, że czynności sekwestratora są wstrzymane!

— rzekł spokojnie naczelnik, a zbliżywszy się do pani Żarkowskiej, ukłonił się jej z szacunkiem.

— Bardzo panią przepraszam za to, co się stało. Zaszło tu nieporozumienie, nie z mojej zresztą winy. Proszę mi darować.

— A o tym nieporozumieniu chciałbym pomówić z panem

— zwrócił się do pana Rudolfa, który stracił zupełnie swą butę i pewność siebie, a nawet jego okrągłą, czerwona twarz przybladła nieco.

— Ze mną? Ależ, panie naczelniku! Ja się właściwie nie zajmuję tymi sprawami... Jestem tu wypadkiem, jako krewny. Naturalnie, chciałem coś pomóc bezradnej kobiecie... — tłumaczył się ugrzecznionym tonem pan Rudolf, ale spuścił oczy pod badawczym spojrzeniem naczelnika, który rzekł oschle:

— Poproszę pana o wyjaśnienie pewnego listu... Gdzie moglibyśmy porozmawiać swobodnie? — zapytał zwracając się do pani Żarkowskiej.

Ale ta była na pół przytomna i zdawała się nie rozumieć nic innego ponad to, że fortepian został ocalony i że uratowała go mała, maleńka dziewczynka, taka — Figa!

Toteż co chwila obejmowała Lusię lub też głaskała pieszczotliwie gładką powierzchnię fortepianu, powtarzając wzruszonym, drżącym głosem:

— Lusieńko! Kochanie! Uratowałaś go! Ty drogie, dzielne dziecko!

84

Lusia jednak, niepewna ciągle, czy niebezpieczeństwo minęło bezpowrotnie, uważna i czujna na wszystko, co się wokoło dzieje, wyswobodziła się z ramion pani Żarkowskiej i podbiegła do naczelnika.

— O proszę! Tu zaraz jest kancelaria...

— Dziękuję. Po załatwieniu sprawy listu przyjdę, by się pożegnać z panią Żarkowską i dzielną, odważną

— Figą!

Figa! Ciągle Figa!

Lecz Lusia już nie obrażała się o to przezwisko, nie sprawiało jej ono przykrości. Przeciwnie! Zaczęła nabierać przekonania, że właśnie jej maleńki wzrost ułatwiał jej wiele rzeczy, otwierał jakby drogę do serc ludzkich.

Sekwestратор tymczasem pakował pośpiesznie swe papiery i kłaniając się służbiście, wymknął się z salonu, zabierając z sobą tragarzy.

Pod nosem mruczał coś, co wyglądało jak niezbyt pochlebne epitety, skierowane pod adresem pana Rudolfa.

— No! Teraz mogę już ustąpić z wałów fortecznych!... — zauważył wesoło Andrzej. — Pozostaje mi tylko ucałować rączki, które tak dzielnie broniły fortepianu i stokrotnie pochylić się do stopek wielkiej osoby, mieszczącej się w maleńkim ciałku!

To mówiąc, gorąco ucałował ręce pani Żarkowskiej i śmiesznie zginać zaczął swój długi korpus, kłaniając się Lusi do samej ziemi.

Ale z obydwu stron rozległy się protesty:

— Nie! Nie ! Nie odjeżdżaj! Musisz przecież wysłuchać, jak mi się udało w Urzędzie Skarbowym! — wołała Lusia.

— Niech pan zostanie! Tyle pan zrobił dla mnie... i dla mego fortepianu! Musi pan posłuchać trochę muzyki.

Z tymi słowami pani Żarkowska siadła do fortepianu i uderzyła w klawisze.

Popłynęły miękkie i rzewne tony, niby perliste łyzy radości i szczęścia.

— Oto jestem! Pragnę ci służyć aż po koniec mego istnienia! — zdawały się mówić rozśpiewane struny fortepianu.

85

— Nie oddam cię, nie rozstanę się z tobą... Tyś jest częścią mego życia! — szeptały dotknięciem białe, długie palce, pieszczotliwie kładąc się na klawisze.

Lusia i Andrzej, przytuleni do siebie, stali radośni, rozpromienieni, zasłuchani...

Dźwięki muzyki dotarły aż do kancelarii, gdzie naczelnik w ostrych słowach dopytywał się pana Rudolfa, dlaczego napisał, iż zajęcie fortepianu nie robi żadnej różnicy pani Żarkowskiej, gdyż jest to sprzęt niepożyteczny, zgoła niepotrzebny.

Usłyszawszy muzykę, naczelnik przerwał rozmowę...

— Ależ to byłaby zbrodnia, gdyby zabrano tej kobiecie fortepian! Przecież to artystka! — zawołał po pewnej chwili, zrywając się z miejsca. — Az panem jeszcze o tej sprawie pomówię! — dodał wychodząc bez pożegnania z kancelarii, by udać się do salonu.

Tam stanął cicho za Lusią i Andrzejem, z zachwytem słuchając muzyki.

Tymczasem przed ganek żarkowicki zajechał drugi samochód, z którego pośpiesznie wysiadł pan Łapiński, z twarzą widocznie zaaferowaną.

— Co się stało? Czego chciała ode mnie ta mała? — zadawał sobie pytania od chwili, gdy wróciwszy do domu wcześniej, niż się go spodziewano, dowiedział się, iż jakaś mała panienka (o, taka figa — objaśniała służąca) koniecznie chciała się z nim widzieć i była bardzo zmartwiona, dowiedziawszy się, że wróci zapewne dopiero na drugi dzień.

Nie namyślając się ani chwili, wsiadł do samochodu, którym wrócił do domu, i przyjechał do Żarkowic. Już na ganku pochwycił tony fortepianu.

— No, chyba nic złego się nie stało, skoro pani Żarkow-ska gra sobie najspokojniej! — myślał wchodząc do wnętrza dworu.

Wszedłszy do salonu, zatrzymał się, zdziwiony towarzystwem, jakie tu zastał.

86

Jakiś obcy chłopiec, niesłychanie długi, przy którym Lusia wydawała się jeszcze mniejsza niż była — no i naczelnik Izby Skarbowej.

Skąd on się tu wziął? Co tu robi?

W tej chwili pani Żarkowska przestała grać i na pół jeszcze nieprzytomnym wzrokiem powiodła po obecnych.

— Ach! Pan Kazimierz! Jak to miło, że pan się zjawił teraz właśnie... Bo myśmy tu przeżywali bardzo ciężkie chwile i gdyby nie nasza Figa... o, przepraszam, Lusia...

— Figa czy Lusia, wszystko jedno! Przyznać trzeba, że ta mała panienka jest bardzo dzielną osobką — wtrącił naczelnik. — Gdyby nie ona, stałaby się rzecz zła...

— Nic nie rozumiem! — przyznał szczerze pan Łapiński, spoglądając kolejno na wszystkich zebranych.

— Widzi pan, to było tak... — zaczęła pani Żarkowska, lecz przerwał jej ugrzecznionym tonem naczelnik:

— Bardzo przepraszam, ale śpieszę się, a chciałbym załatwić jeszcze jedną sprawę; chodzi mianowicie o tego pana, który tu był...

— O Rudolfa? To jest mój daleki kuzyn...

— Czy pani upoważniała go do załatwiania swych spraw w Urzędzie Skarbowym?

Pani Żarkowska spojrzała ze zdziwieniem.

— Nie! W tych sprawach pomagał mi pan Łapiński. Rudolf czasami tylko załatwiał dla mnie pożyczki...

— Na najgorszych warunkach! — mruknął pan Łapiński.

— ...i pośredniczył w sprzedaży zboża! — ciągnęła pani Żarkowska.

— Zawsze z krzywdą dla pani! — wybuchnął znów pan Łapiński.

Naczelnik ściągnął brwi.

— Hm... a czy teraz też chodziło o jakiś interes? O jakąś sprzedaż? — zapytał.

— Tak! Przywiózł kupca na pszenicę... Mówił, że od razu dostanę pieniądze i mogę w ten sposób ocalić fortepian!

87

— Aha! Teraz rozumiem wszystko! — rzekł naczelnik, a zwracając się do Lusi, dodał z uśmiechem — a więc nasza mała bohaterka ocaliła nie tylko fortepian, ale i — pszenicę!

— Ale co będzie dalej z fortepianem? Na razie nie mam pieniędzy, a pan Łapiński nie pozwala mi sprzedawać pszenicy na pniu... — zaniepokoiła się pani Żarkowska.

— O... I tę sprawę załatwiła częściowo nasza dzielna, maleńka dziewczynka, zaofiarowując mi swoje oszczędności — objaśniał naczelnik.

— Jeżeli chodzi o pieniądze, to ja mogłabym... bardzo chętnie... gdyby pani dziedziczka pozwoliła... — zabrzmiał donośny głos ode drzwi.

Pani Żarkowska spojrzała ze zdziwieniem na tęgą postać kobiecą, zgrzaną, zziąjaną, z rozczzerwienionymi policzkami.

— Kto to jest? — zapytała półgłosem.

Ale już Lusia była przy pocziwej ogrodniczce i ciągnąc ją w stronę pani Żarkowskiej, mówiła z przejęciem:

— To jest pani Tymdyryndzina... U niej właśnie jest Andrzej... Uczy jej synka... To ona pomogła mi rozmówić się z panem naczelnikiem. Bo przecież nie mógłby w tłumie zauważyć takiej figi! Więc podniosła mnie do góry i trzymała tak długo, aż wszystko załatwiłam!

— Et! Głupstwo! Toć żaden ciężar taka figa! A jakby o pieniądze chodziło, to służę...

— Na razie nie potrzeba. Jakoś to załatwimy. Pan — tu naczelnik zwrócił się do pana Łapińskiego — pofatyguje się do mnie jutro. A teraz żegnam państwa. I bardzo przepraszam za wszystkie przykrości.

Lecz pani Żarkowska, która już przyszła do siebie po wszystkich przejściach, zaczęła go zatrzymywać z ujmującą serdecznością.

— Och! Panie naczelniku! Nie odmówi mi pan zostania na obiedzie. Taka panu jestem wdzięczna...

— Niestety, czekają na mnie. Może innym razem. Bardzo chętnie poznam się bliżej z prześlicznymi Żarkowicami!

Pożegnawszy serdecznie zebranych, naczelnik odjechał.

88

Zaraz potem zaczęła się żegnać pani Tymdyryndzina.

— Konia przyprowadziłam w całości i w porządku, tak jak obiecałam. A teraz kłaniam się pięknie i uciekam... A jakbym pani dziedzicze w czymś przydać się mogła, całym sercem służę! — mówiła, raz po raz przysiadając w ukłonach i potrząsając wykrzywionym kapeluszem.

— To i ja panie pożegnám! Tam moi uczniowie czekają! — rzekł Andrzej, ale pani Żarkowska zaprotestowała energicznie:

— O, nie! Nie! Dziś nie możemy zostać same.

— Niechże pan profesor się nie śpieszy! Nie ma nic pilnego! Proszę zostać! Bardzo proszę! I padam do nóżek! A małą panienczkę żegnám najserdeczniej!

W ciągłych ukłonach, cofała się poczciwa ogrodniczka ku drzwiom, ale już ją dopadła Lusia, chwyciła za rękę i ciągnęła z powrotem do pokoju.

— Ach! Nie! Pani musi zostać na obiedzie! Prawda, ciociu? Pani była taka dobra dla mnie!

— Ależ naturalnie! Bardzo proszę! Pogawędzimy o tym, co się dziś stało! Nawet nikomu jeszcze nie podziękowałam! I właściwie nie znam jeszcze dokładnie całej historii. Musisz mi wszystko opowiedzieć, Lusi.

— Owszem, ciociu! Ale nie teraz! Chciałam się trochę zająć obiadem!

Twarz pani Żarkowskiej spochmurniała nagle. Przypomniała sobie braki w spiżarni, wieczne niezadowolenie gospodyni, więcej niż skromne pożywienie, które otrzymywała codziennie.

— Niech ciocia się nie martwi! Załatwię wszystko! — szepnęła jej w tej chwili do ucha Lusia i wybiegła szybko z pokoju.

Za progiem jednak opuściła ją fantazja; jak tu powiedzieć, że na obiedzie będą aż trzy obce osoby? I że ten obiad ma być zupełnie przyzwoity?

Początkowo przyszła jej na myśl na pół obłąkana kobieta, która rozsiewała trwogę między niekarną i rozzuchwaloną służbą. Ale gdzie jej szukać? Zjawiała się zawsze zupełnie niespodziewanie, nigdy na zawołanie.

Ha! Trudno! Trzeba sobie radzić samej.

89

Gdy podchodziła do uchylonych drzwi wielkiej kuchni dworskiej, usłyszała rozmowę, prowadzoną podniesionymi głosami.

Grzmiąca przeważnie gospodyni, a reszta przytakiwała jej gorąco.

— Smarkata jedna! Figa taka, a ludźmi jej się chce rządzić! O! Sprowadziła nam tu na łeb Bóg wie kogo!

— Prawda! Prawda! Nazjeżdżało się tego, że aż strach!

— Właśnie! I co narobiła?! Klekotu starego nie zabrali, ale przecież i tak podatki zapłacić trzeba.

— A trzeba! Trzeba!

— Więc zboże zabiorą!

— Jak to?

— A tak! Zabiorą! Nawet na ordynarię nie zostawią!

— O... O... Pensji nie dostajemy, jeszcze by i ordynarię... — rozległy się znekane głosy.

— Jakby ten stary klekot zabrali — prawda dalej gospodyni — zaraz by inaczej było. Pani by zmiękła, pszenicę sprzedawała, żeby niby ocalić ten swój fortepian, no i pan Rudolf jakoś by coś dla nas wykombinował.

— E... Tam! Dla nas! Dla siebie! Toć wszyscy mówią, że lada dzień Żarkowice do niego przejdą.

— No to przejdą! A nam co za krzywda z tego?

— To i prawda! I tak on tu rządzi... Pod Lusią nogi się ugięły.

Więc to tak! Więc ten niemiły, gruby człowiek czyha na Żarkowice? Czyżby ciocia Żarkowska nic o tym nie wiedziała? A pan Łapiński? Może iść, opowiedzieć to, co tu słyszała?

Lecz zaraz opanowała się. O tym, co usłyszała, pomówi naturalnie z Andrzejem i z panem Łapińskim, ale teraz musi się zająć obiadem.

Była niemal pewna, że gospodyni ani myśli o nim i że trzeba będzie stoczyć walkę, aby skleić jaki taki posiłek.

Trochę jej biło serduszko, gdy energicznymi krokami weszła do kuchni.

Piorun z jasnego nieba nie byłby tak przeraził zebranych w wielkiej kuchni, jak drobna figurka Lusi.

90

Gospodyni, stojąca pośrodku z wielką warząchwią w ręce, znieruchomiła, nie zdoławszy zamknąć ust, z których miał popłynąć potok dalszej wymowy, a siedzący pod ścianami na ławkach parobcy i dziewczyny pozrywali się z miejsc i wpatrywali się wybałuszonymi oczami w dziewczynkę, jakby widmo zobaczyli.

Lusia spokojnie zapytała:

— Jak tam z obiadem? Mamy gości. Trzy osoby. Chwilę trwała cisza, aż nagle gospodyni oprzytomniawszy

wrzasnęła:

— Obiad? Jaki obiad?! Goście? Co za goście?! Cóż to? Książęcy dwór czy co? Obiadki! Goście! Patrzenie państwo! Tu nędza! Tu nie ma co jeść! Tu komornik! Tu sekwestrator! Ale goście! Ale obiadek! I dlaczego? Bo przyjechała z Warszawy wielka osoba! O, patrzcie! Jaka wielka! Jak mój wielki palec! Figa taka zatracona!

91

Lusia spodziewała się przepawy z gospodynią, ale nie była przygotowana na taki wybuch wściekłości.

Toteż w pierwszej chwili ogarnęła ją chęć ucieczki, ale zaraz opanowała się i robiąc krok naprzód, rzekła głosem nakazującym, który dziwnie odbijał od jej drobnej figurki:

— Powtarzam, że mamy gości na obiedzie. Trzy osoby! Obiad musi być przyzwoity!

— Przyzwoity! Przyzwoity! — przedrzeźniała gosposia. — A cóż to królewna zadysponuje, hę?

— Sądzę, że obiad jest już gotów... Chciałam się dowiedzieć, co będzie? — siląc się na spokój, mówiła Lusia.

— Co? A no, frykasy, frykasy! Kartofelki i kasza, kasza i kartofelki! Na co stać taki bogaty dwór, co to z niego komornik nie wyjeżdża! — darła się coraz głośniejszą gospodyni, a obecni w kuchni przytakiwali jej ironicznymi chichotami.

Wiadomo! Lepiej trzymać z silniejszym. Zawsze przy kuchni można coś zyskać, a takie coś, co ledwie od ziemi odrosło, co tam komu pomóc może!

Lusia stała chwilę niezdecydowana. Energia i odwaga zaczynały ją opuszczać... Może rzeczywiście nie ma nic innego w spiżarni?

Nagle powonienie jej uderzył smakowity zapach... Coś się smaży, coś piecze...

Przysunęła się szybko do kuchni.

— Zdaje się jednak, że oprócz kartofli i kaszy coś się jeszcze smaży... — zaczęła, ale w tej chwili zerwała się istna burza, huragan!

Gospodyni formalnie oszalała. Twarz jej pokryła się purpurą przechodzącą w fiolet, oczy zdawały się wyskakiwać na wierzch, usta dygotały jak w febrze.

— A... Ty mała jaszczurko... Po garnkach mi będziesz szperać... Widzicie ją! Jaki mi kontroler! A wynoś mi się z kuchni, bo cię miotłą, jak śmieć, wyrzucę...

Duża, czerwona ręka chwyciła drobne ramię dziewczynki, ściskając je tak, że Lusia omal nie krzyknęła z bólu.

92

Ale w drobnym ciałku była moc, której się nikt nie spodziewał! Wygimnastykowana, zręczna Lusia umiejętnym ruchem wyswobodziła ramię i stanęła w obronnej pozycji, mówiąc przy tym lekko drżącym, lecz silnym głosem:

— Gospodyni się zapomina... Przyszłam tu z rozporządzenia pani dziedziczki...

— O! Pani dziedziczki! Dziś po stary gruchot — fortepian — przyjechali! Jutro po resztę przyjadą! Ładne mi dziedzictwo! — szydziła gosposia, ale straciła już połowę ze swej buty.

Ta mała dziewczuszka, ta — figa! — imponować jej już zaczęła czymś, czego zrozumieć nie mogła, ale co ją brało w swoją moc.

I w innych obecnych w kuchni dokonywać się zaczęła jakaś przemiana.

— Dziecko ma rację... Dopomina się o swoje — ośmielił się ktoś mruknąć.

— Jak goście, to trzeba jakoś poradzić. Nie można wstydu robić... — dopowiedział ktoś inny.

— Lusi! Hej! Lusi! Gdzie ty się podziewasz? — rozległ się ode drzwi wesoły głos Andrzeja. — A... widzę, że jesteś przy dalszej pracy... Zdobywasz teraz obiad, co?

Gospodyni znów się zaperzyła i byłaby może wybuchnęła nowym potokiem wściekłości, gdy nagle cicho, bezszelestnie, jakby ścianę przeniknęła, zjawiła się w kuchni — Iwona!

Jak za pierwszym razem, tak i teraz w rozwścieczonej kobiecie nastąpiła natychmiastowa przemiana. Skuliła się jakoś, jakby zmałała, zamilkła, przybladła nawet i zmusiła się do jakiegoś niby to uprzejmego wyrazu twarzy.

Iwona powiodła wzrokiem po obecnych, którzy snąć doskonale rozumieli nakazy wychodzące z tych dziwnych oczu, gdyż zaroilo się, zakotłowało. Każdy coś robił, każdy się śpieszył, każdy chciał wykazać swą gorliwość.

— Nadzwyczajne! — szepnął Andrzej, nachylając się do Lusi. — Ten generał w spódnicy jest niezrównany!

— To właśnie lwona, o której ci wspominałam! — objaśniała Lusia, również szeptem.

93

— Może panienka spokojnie wracać do pokoju! — odezwała się słodziutkim głosem gospodyni. — Obiad migiem podamy! Wszystko będzie w zupełnym porządku!

W tej chwili na Lusi spoczęły oczy lwony i patrzyły tak jakoś miękko, prawie pieszczotliwie, iż dziewczynka bezwiednie podeszła bliżej do tej dziwnej istoty i szepnęła serdecznie:

— Dziękuję!

Coś jakby uśmiech zadrgało na zeschniętych wargach, ale zaraz zniknęło i lwona znów wydawała bezgłośnie rozkazy.

— Chodźmy! — pociągnął za sobą Lusię Andrzej.

Gdy wychodzili, do uszu ich dobiegały półgłosem rzucane uwagi:

— Patrzcie, jak to się zwija! Dla tego Rudolfa szykowałam przysmaki, a teraz musi je wydać „na stół”!

— Spizarnia pełna, ale dla obcych. Dla naszej pani to nigdy nic nie ma.

— Warto by wszystko pod klucz! O! Ta mała panienka mogłaby zrobić porządek!

Każdy coś od siebie dodawał, nie bojąc się już narazić gospodyni, jakby przeczuwając jej koniec.

— Niechby sobie poszła do pana Rudolfa! Toć ona przez niego tu nasłana!

Uwagi te były najwyraźniej przeznaczone dla Lusi i Andrzeja, który uważnie im się przysłuchiwał, podczas gdy Lusia śpieszyła do pani Żarkowskiej, niespokojnej o losy obiadu, na który zatrzymała swoich gości.

— Cioteczko! Wszystko w porządku! — szepnęła Lusia, podbiegając do pani Żarkowskiej, która odetchnęła swobodnie i szepnęła:

— Chwała Bogu!

Od tej chwili zaczęły się same niespodzianki, nie upłynęło bowiem pół godziny, gdy drzwi otworzyły się szeroko i stanął w nich Jan, wyprostowany służbiście, w białych rękawiczkach i zameldował uroczystym głosem:

— Obiad podany!

94

Pani Żarkowska, widocznie rozradowana, zerwała się, mówiąc uprzejmie:

— Proszę państwa, bardzo proszę! Ale pani Tymdyryndzina znów zaczęła się

wymawiać:

— Za wiele łaski... Skąd ja... zwyczajna ogrodniczka... Już chyba pojedę do domu... Wielmożna pani daruje...

Lecz dopadli do niej z dwóch stron Lusia i Andrzej, który ujął wzdragającą się ogrodniczkę pod rękę.

— Niech moja „szefowa” nie robi nam przykrości. Wszyscy ratowaliśmy ten przepiękny fortepian, więc wszyscy za jego zdrowie wypijemy! — mówił wesoło.

— Ale bo to, proszę pana, ludzie mówią, że tu bieda... że wszystko ten krewniak razem z gospodynią wynoszą, więc może zrobi różnicę, jak tak niespodziewanie... — szeptem tłumaczyła pani Tymdyryndzina.

Andrzej roześmiał się.

— O to nie ma kłopotu. Przecież mamy tu naszą czarodziejkę, naszą Figę! Już ona sobie poradzi z tym grubym smokiem. Idziemy!

Pani Żarkowska, której z galanterią podał ramię pan Łapiński, przeszła pierwsza koło stojącego nieruchomo przy drzwiach Jana, za nią kroczyła trójka, reprezentująca najwyższy wzrost, świetną tuszę i najdrobniejszą figurkę, dla której nie było lepszego określenia jak Figa!

W jadalnym pokoju znowu niespodzianka: stół nakryty prześlicznie piękną, starą porcelaną, srebrne nakrycia, a przed każdym z nich połyskujące kryształowe kieliszki.

Nie tylko skromna ogrodniczka, ale i Andrzej był zaskoczony tą bogatą, elegancką zastawą, gdyż to, co dotąd widział w Żarkowicach, mówiło raczej, iż pani Żarkowska jest doszczętnie zrujnowana.

95

Dalszą niespodzianką był obfity, urozmaicony i bardzo smaczny obiad, do którego z wielką powagą i godnością usługiwał Jan.

Gospodyni nie było ani widać, ani słychać.

— O! Widzę, że Jan przygotował nam starego węgryzna! — rzekł w pewnej chwili pan Łapiński, spoglądając na omszałe butelki, koło których kręcił się stary służący.

— Albo to nie warto?! Albo to nie uroczysty dzień?! — odparł Jan, a patrząc na Lusię, dodał: — Albo to taka panienka, mała jak figa, a mądrzejsza i dzielniejsza niż wielu dorosłych ludzi, nie warta, żeby winem, co dawne dobre czasy pamięta, jej zdrowie wypić?

— Racja, Janie! Święta racja! — podchwycił pan Łapiński. — Więc nalewajcie prędko!

96

A gdy w starych, bogatych kryształach zaperlił się złoty węgryz, pan Łapiński wzniósł w górę kieliszek.

— Niech nam żyje nasza dzielna, kochana Lusia! — zawołał.

Lecz dziewczynka przerwała żywo:

— Ach! Jeżeli już naprawdę chcecie mi zrobić ten zaszczyt i pić moje zdrowie, to proszę, nie za Lusię, lecz za Figę!

— Wiwat! Brawo! Niech żyje nasza Figa! Dzielna, mądra i bardzo kochana Figa! — podchwycił radośnie Andrzej.

W niezwykle miłym, serdecznym nastroju upływał czas gromadce zebranej zupełnie przygodnie w jadalni żarkowskiego dworu. Tak niedawno jeszcze zupełnie obcy, nie wiedzący o swoim istnieniu, stanowili teraz grono ludzi bliskich sobie, gotowych w każdej chwili, gdyby tego zaszła potrzeba, stanąć w obronie, gdyby ktoś chciał zaatakować kogoś z nich.

Pani Żarkowska była niezwykle uprzejmą gospodynią, gościnną, uważną, zajmującą się z wielkim wdziękiem swoimi gośćmi, którzy patrzyli na nią z zachwytem.

— Twoja ciocia jest nadzwyczajna! Doprawdy, żałuję, że nie jest jednocześnie i moją ciocią, bo wówczas wolno by mi było kochać ją tak, jak ty ją kochasz! — szepnął w pewnej chwili Andrzej do Lusi, która zaśmiała się radośnie i zawołała głośno:

— Ależ to się da zrobić! Prawda, cioteczko?

— Co, kochanie? — zapytała serdecznie pani Żarkowska.

— Andrzej żałuje, że ciocia nie jest jego prawdziwą ciocią, bo chciałby ciocię kochać, jak kogoś bardzo bliskiego! — mówiła Lusia, nie zwracając uwagi na rozpaczliwe znaki Andrzeja, który, czerwony jak burak, chciał powstrzymać wymowę Lusi.

— Ja bardzo przepraszam... nie sądziłem, iż Lusia powtórzy... — starał się usprawiedliwiać, ale pani Żarkowska serdecznie wyciągnęła do niego swe drobne ręce.

— Ależ chłopcze kochany! Będę się bardzo cieszyła, jeżeli mnie będziesz uważał za kogoś bliskiego sobie, za swoją ciocię! Zrobięś dla mnie tyle... Tak dzielnie mnie broniłeś...

7 — Figa

97

— No! Musimy godnie uczcić przyjęcie do rodziny nowego członka — zawołał wesoło pan Łapiński. — Sądzę, że będzie pani miała z niego większą pociechę, niż z tego prawdziwego — dodaj ciszej, nachylając się do pani Żarkowskiej.

— Och! Panie Kazimierzu! Rudolf jest naprawdę bardzo do mnie przywiązany i chciał na pewno jak najlepiej — upierała się pani Żarkowska.

Pan Łapiński pokiwał znacząco głową, lecz już nie wracał do tego przedmiotu, tym bardziej, iż pani Żarkowska po chwilowym wielkim ożywieniu widocznie osłabła i robiła teraz wrażenie małego, bardzo zmęczonego dziecka.

— No, panno Lusu! Trzeba teraz zająć się cicią! My sobie chwilę jeszcze pogawędzimy, a nasza dzielna...

— Figa! — podpowiedziała wesoło Lusia.

— Niech i tak będzie. Więc nasza dzielna Figa odprowadzi cicię do jej pokoju i ułoży do łóżka!

— Istotnie jestem trochę zmęczona... Ale chciałabym, żebyście mi jeszcze opowiedzieli wszystko...

— To się zrobi później. Teraz musi pani odpocząć — nalegał stanowczo pan Łapiński.

Pani Żarkowska już nie oponowała, lecz pożegnawszy serdecznie swoich gości wyszła z Lusią.

Po ich odejściu w pokoju zapanowała przez chwilę cisza, po czym pan Łapiński zaczął trochę niepewnym głosem.

— No, tak! Tym razem udało się uniknąć wszelkiego niebezpieczeństwa, dzięki przede wszystkim tej naszej Fidze, no i waszej pomocy. Ale co będzie dalej?

— Właśnie o tym ciągle myślę — nieśmiało odezwała się pani Tymdyryndzina. — Bo to ludzie gadają, chociaż niby nie trzeba we wszystko wierzyć, co ludzie gadają, ale we wszystkim jest zawsze trochę prawdy, więc ludzie gadają, iż tutaj wszystkim rządzi ten pan Rudolf Holowy, a rządzi tak, żeby jak najprędzej Żarkowice dla siebie zagarnąć!

— Niestety, tym razem ludzie mówią prawdę — zgnębionym głosem odparł pan Łapiński. — A najgorsze w tym wszystkim to, że pani Żarkowska bardzo kocha tego Rudolfa,

98

jedynego syna jej nieżyjącej siostry. Pan Rudolf wie o tym i wyzyskuje to na swoją korzyść.

— O, to niedobrze! To niedobrze! — zakłopotana się pani Tymdyryndzina, fraszobliwie kiwając głową.

— Ano niedobrze! Tym razem był to szczęśliwy wypadek, że mu się nie udało zgnębić pani Żarkowskiej, bo znalazła się ta mała czarodziejka... Ale otóż i ona — kończył pan Łapiński widząc wchodzącą Lusię, która z wesołym uśmiechem zawołała:

— No! Ułożyłam cicię do łóżka i wyobraźcie sobie państwo, że od razu usnęła jak małe dziecko... A co się stało? Dlaczego wszyscy mają takie zafrasowane miny? — zapytała, wodząc po zebranych zdziwionym i trochę przestraszonym wzrokiem.

— Radzimy nad tym, co robić dalej — objaśnił Andrzej. — No, i jakoś nam niewesoło.

— Ale dlaczego? Ciocia jest uszczęśliwona i zupełnie spokojna. Mówi, że wszystko teraz pójdzie jak z płatka.

Pan Łapiński smutnie pokiwał głową.

— Tak! Tak! Pani Żarkowska zawsze wszystko widzi w różowych kolorach, a potem nieszczęście spada na nią jak piorun z jasnego nieba!

— A czy znowu grozi jakiś sekwestrator? — przerażonym głosem zapytała Lusia.

— Nie! To nie to! Tylko widzicie, tu trzeba kogoś, kto by objął rządy. Inaczej wszystko się rozleci! Służbę trzeba częściowo zmienić, bo to są przeważnie ludzie podstawieni przez pana Rudolfa, wejrzeć w gospodarstwo, którym właściwie nikt się nie zajmuje, no i bronić panią Żarkowską przed zgubnymi wpływami jej siostrzeńca.

Lusia słuchała słów pana Łapińskiego z uwagą, ale zrozumiała jedno tylko: przy pani Żarkowskiej musi być ktoś dorosły, ktoś mądry, ktoś umiejący sobie radzić.

— A pan? — zapytała nieśmiało, zwracając się do pana Łapińskiego po chwili milczenia. — Czy pan nie mógłby cioci pomóc?

99

— Dotąd robiłem to dorywczo. I w dalszym ciągu służę, czym tylko będę mógł. Ale mam swoje stałe zajęcie, a przy tym tak się złożyło, że muszę pojutrze wyjechać na jakiś czas.

— Ach! Jaka szkoda! — ze szczerym żalem szepnęła Lusia i powiodła bezradnym wzrokiem dokoła.

Spotkała współczujące oczy dobrej ogrodniczki i jasne spojrzenie Andrzeja, który patrzył na nią tak, jakby chciał z niej wydobyć jakieś słowa, jakąś radę. Tak! Andrzej chciał czegoś od niej. Ale czego?

— Ja myślę — zaczął po chwili milczenia Andrzej — że tutaj najwięcej może pomóc Lusia...

— Ja? — ze zdumieniem krzyknęła dziewczynka — przecież ja o tym wszystkim nie mam pojęcia. A do tego nie tylko, że jestem niedorośłą, a jeszcze wyjątkowo małą!

— A jednak ty, Lusi, musisz coś zrobić — upierał się Andrzej. — Możesz zawiadomić ojca, by przyjechał na kilka dni...

— Oj to, to! — przytwardziła pani Tymdyryndzina, a i pan Łapiński potakująco kiwnął głową.

— Tatuś wyjechał na jakiś czas do Anglii — odparła szybko Lusia, która już się domyślała, o co chodzi Andrzejowi.

— No więc twoja matka.

— Wiesz przecież, mówiłam ci, że nie mam matki, tylko macochę! — wybuchnęła Lusia, a jej miła, rozpromieniona niedawno jeszcze twarzyczka nabrała brzydkiego wyrazu zaciętości i uporu.

— Widzisz, w tym wypadku chodzi nie o ciebie, tylko o ciocię Żarkowską, więc... — zaczął łagodnie Andrzej, ale Lusia przerwała mu gwałtownie:

— To się nie da zrobić! Macocha jest nad morzem, a ja nie będę jej prosić, by sobie przerywała miły wypoczynek.

— Hm... Trzeba będzie jednak coś wymyślić... — rzekł podnosząc się pan Łapiński. — A tymczasem muszę się już pożegnać. Mam jeszcze mnóstwo roboty przed wyjazdem! postaram się wpaść jutro.

Ogrodniczka porwała się również:

100

— I na mnie czas! Pięknie za gościnę dziękuję. Pani dziedzicze kłaniam się nisko. A zawsze jestem do usług gotowa, jakbym była potrzebna.

Z kolei podniósł się Andrzej, a Lusię nagle ogarnął strach. Zostanie sama, a tu podobno mogą się dziać jakieś nadzwyczajne rzeczy... A ona, taka figa... co może na to poradzić?!

Więc podniosła oczy i szepnęła prosząco:

— Andrzeju! Czy i ty musisz już koniecznie jechać?

— Ależ nie! Pan profesor może zostać. Ja pojedę sama! — pospieszyła z pomocą Lusi pani Tymdyryndzina, lecz Andrzej rzekł stanowczo:

— Muszę, Lusi! Trzeba dokończyć lekcji z moimi uczniami. Ale jutro, jeżeli mi pani „szefowa" użyczy konia, wpadnę zobaczyć, co się tu dzieje!

• * *

Po chwili w gwarным, pełnym ruchu dworze, zrobiło się pusto i tak cicho, jakby nigdzie nie było żywego ducha. Nawet wielkie, stare drzewa w parku, zawsze szumiące i gaworzące bez ustanku umilkły, jakby i one, zmęczone niezwykłymi przeżyciami, chciały zażyć zupełnego spokoju.

Ale Lusia nie miała w sobie tego spokoju, którym zdawało się oddychać wszystko naokół. Nie miała też tej promiennej radości, jaka ją wypełniała całkowicie, gdy sprawa fortepianu została tak pomyślnie załatwiona. Coś ją gnębiło... Czuła na sobie badawczy, przejmujący wzrok Andrzeja. Zdawał się jej robić wymówki, był z niej niezadowolony.

Ach! Głupstwo! Przecież Andrzej nie jest żadną ważną osobą. Tyle, że duży, ale raptem ledwie o trzy lata od niej starszy. To prawie nic, bo przecież dziewczęta rozwijają się prędzej niż chłopcy. Słyszała to kiedyś od swojej wychowawczynie...

I z jakiego powodu miał być z niej niezadowolony, patrzeć na nią z wymówką? Że nie chciała zaprosić do Żarkowic swojej macochy?

Naturalnie, macocha, chociaż nieobecna, zepsuła jej taki piękny dzień!

101

Zła, z marsem na czole, który tak szpecił jej miłą twarzyczkę, wyszła Lusia do parku.

Ach! Jak cicho! I jak pięknie! Park był wprawdzie zapuszczony, jak wszystko w Żarkowicach, ale nic nie było w stanie ująć piękności prastarym drzewom, dumnie rozpościerającym swe korony, oświetlone jaskrawym słońcem, nic nie potrafiło odjąć czarui przepysznej roślinności, niegdyś starannie hodowanej i pielęgnowanej, a dziś istniejącej tylko dzięki swym siłom żywotnym i życiodajnej glebie polskiej.

Lusia powoli ulegała czarowi przyrody i uspokajała się, odsuwając od siebie niemiłe myśli. Błądziła dawno nie graco-wanymi ścieżkami, zatrzymywała się przed klombami pokrytymi roślinami, częściowo dziczacymi, lecz obficie kwitnącymi, podziwiała krzewy, których nazw nie znała, ale które ciągnęły ku sobie oczy pięknym listowiem i najrozmaitszymi odcieniami zieleni.

Nagle zatrzymała się, bo oto ciszę przebiły jakieś dźwięki, coś, jakby urywany szept... Tak! to były głosy ludzkie, przyciszone, tajemnicze.

Skąd mogły pochodzić? Lusia nie znała jeszcze rozkładu parku, nie wiedziała, czy są w nim jakie budynki, altanki, nie mogła się też zorientować, w jakiej odległości od dworu znajduje się w tej chwili, mogła więc tylko kierować się słuchem.

Ale właściwie, co ją mogły obchodzić te głosy? Może to rozmawiał ktoś za ogrodzeniem? Lecz nie! Głosy, które coraz wyraźniej dochodziły do Lusi, były jakieś tajemnicze, takie, jakimi mówią ludzie, którzy mają coś do ukrywania.

Doszedłszy do takiego wniosku, Lusia zaczęła ostrożnie iść w kierunku rozlegających się dźwięków. Instynktem wiedzona zesza z szerokiej alei, trzymając się jak najbliżej krzaków, doskonale zasłaniających jej drobniutką postać.

— Czasem jednak dobrze być Figą, szczególnie gdy się chce kogoś złapać na gorącym uczynku! — myślała z humorem i zaraz dodała w myśli — No! Andrzejowi byłoby znacznie trudniej ukrywać się.

102

Nagle drgnęła. W coraz wyraźniej dochodzących głosach zdołała pochwycić słowa, rozpoznać dźwięki. Tak! Nie myli się! To mówi gruba gospodyni! Jej głos jest nabrzmiały złością i pewną trwogą. Drugi, nieznajomy, brzmi ostro, rozkazująco.

Lusia mogła teraz posuwać się znacznie szybciej, bo krzewy były tu gęściejsze, a lekki wiatr, który zerwał się nagle, szumem liści pokrywał szelest jej kroków.

Można już było rozróżnić niektóre wyrazy:

...to przez to przeklęte małe diabłu... pan Holowy nie lubi takich rzeczy... już ja się do niej wezmę... chce kogoś sprowadzić... żadnych listów nie wysyłać bez kontroli... nikt nie może przyjechać tu bez naszej wiedzy...

Na dobre zaciekawiona i wiedząc już, że to gospodyni prowadzi jakieś konszachty z wysłannikiem antypatycznego pana Rudolfa, Lusia starała się zbliżyć jeszcze więcej, by wysłuchać rozmowę tych dwojga nieprzyjaciół cioci Zarkowskiej i Żarkowic!

Będzie podsłuchiwała, ale w tym wypadku to nie przestępstwo, lecz obowiązek!

Była już teraz tak blisko, że słyszała dokładnie całą rozmowę.

— Pilnować tej małej — mówił męski głos — i dokuczać jej, żeby się wyniosła jak najprędzej. Nastraszyć ją czym.

— To nie tak łatwo! Śmiała jest, nie boi się... A ten dryblas jeszcze jej dodaje odwagi...

— No, tym dryblasem trzeba się zająć... Już ja to zrobię... Lusię przebiegł zimny dreszcz. To o Andrzeja chodzi! Jemu

grozi niebezpieczeństwo.

— Tej artystce pozwalać grać jak najwięcej i dawać jeść jak najgorzej... I w niczym nie ustępować... To ona musi nam ustępować!... — brzmiały dalsze instrukcje. — Zresztą wszystko ma być jak dawniej! I pamiętajcie: pan Holowy umie dobrze płacić tym, co mu wiernie służą, ale ma twardą rękę dla tych, co jego rozkazów nie spełniają.

103

— Oj wiem, wiem o tym! — pokornie mruknęła gruba gospodyni.

Widać był to koniec rozmowy, gdyż rozległy się ciężkie kroki, zbliżające się do miejsca, gdzie stała Lusia, która, obawiając się, by nie została odkryta, szybko wsunęła się pod młody krzak, który otulił ją swymi liśćmi tak szczelnie, iż przechodzący obok krępy mężczyzna o brzydkiej twarzy i ruchliwych, złych oczach nie odkryłby jej, nawet gdyby przyglądał się pilnie krzewom, rosnącym po bokach alei.

Ale snąc ów jegomość czuł się zupełnie bezpiecznie, gdyż pomrukując coś pod nosem, szedł szybko, nie starając się ukrywać ani obawiając się, że go ktoś zobaczy.

Długo jeszcze potem, jak zniknął na zakręcie alei, siedziała Lusia w swojej skrytce, bojąc się ruszyć, by czasami nie odnalazła jej gospodyni lub ktoś przysłany z jej polecenia. Zdecydowała się wreszcie opuścić swoje liściaste schronienie i skradając się ostrożnie, pomknęła szybko do domu.

Była wystraszona i zupełnie bezradna. Rozumiała, że dzieją się koło niej rzeczy złe, że trzeba coś zrobić, bronić się, ale jak? Co?

104

Czuła doskonale, iż są to sprawy za poważne, by mogła sobie z nimi poradzić. I nie tylko ona, Figa, nie umiałyby zaradzić złu, ale nawet duży Andrzej czułby się tak samo bezradny. To są sprawy, którymi powinni się zająć starsi, dorośli, mądrzy i doświadczeni ludzie.

Gdyby tak tatuś był...

Macocho?

Lusia wzdrygnęła się niecierpliwie.

Nie! Nie! Tylko nie to!

Ale zaraz rozsądek, którego nie brak było dziewczynce, podpowiadał: tylko ona!

Macocho, to Lusia musiała przyznać mimo całej swej dla niej niechęci, była energiczna i umiała sobie doskonale radzić we wszystkim.

— O... Ona potrafiłaby zaprowadzić tu porządek. Ale znów...

Długo, długo rozmyślała Lusia, długo walczył rozsądek z urojoną niechęcią i dopiero dobiegające z dołu dźwięki fortepianu przechyliły szalę: rozsądek, poparty gorącym, dobrym sercem, zwyciężył.

Zupełnie zdecydowana wybiegła Lusia ze swego pokoju, kierując się prosto do salonu, w którym pani Żarkowska siedziała przy ocalonym przyjacielu, przesuwając białe palce po pożółkłych klawiszach.

— O, cioteczka już wstała. To niedobrze! Trzeba było dłużej odpoczywać po takim męczącym dniu! — upominała Lusia poważnie, siadając przy pani Żarkowskiej.

— Wypoczęłam znakomicie i czuję się doskonale! — wesoło odparła pani Żarkowska. — A poza tym muszę przecież trochę zająć się domem, no i moim kochanym gościem...

— No, jeżeli ten gość to ja, to nie potrzebuje się ciocia trudzić. Czuję się w Żarkowicach jak w domu i nie tylko nie trzeba się mną zajmować, ale nawet mogłabym coś niecoś dopomóc.

— Ależ doskonale! Widzisz, kochanie, w ostatnich czasach tyle miałam zmartwień, iż przestałam się zajmować domowymi sprawami i wszystko jest bardzo zaniedbane...

105

— Właśnie o tym chciałam z ciocią pomówić. A właściwie o coś prosić.

— Ależ mów, dziecko! Z przyjemnością spełnię każde twoje życzenie.

Lusia milczała przez chwilę. Jakieś złe podszepty zatrzymywały jej słowa, które chciała powiedzieć.

— No, więc o co chodzi? Słucham!

Miły, serdeczny głos pani Żarkowskiej odpędził złe myśli i Lusia, zupełnie już zdecydowana, rzekła:

— Tak bym chciała, tak bardzo bym chciała, żeby ciocia zaprosiła moją — zatrzymała się na chwilę, potem mówiła dalej z pewnym wysiłkiem — moją drugą matkę do Żarkowic.

Pani Żarkowska spojrzała na dziewczynkę ze zdziwieniem.

— Chciałabyś, żeby pani Alina tu przyjechała? Zdawało mi się, że właśnie dlatego przyjechałaś do mnie, żeby nie jechać z nią nad morze?

— Tak! To prawda! Ale teraz bardzo, bardzo bym chciała, żeby tu przyjechała! Wiem, że zrobi to bardzo chętnie, bo zawsze chce opiekować się mną, tylko że ja odrzucam to i robię jej różne przykrości! — przyznawała się szczerze Lusia. — Ale teraz potrzebna jest opieka nie tylko mnie, ale i cioci, i w ogóle...

Zatrzymała się, patrząc trochę niepewnie na panią Żarkowska. Może nie powinna tego powiedzieć? Może obraziła swą ciotkę?

Lecz pani Żarkowska przyciągnęła ją ku sobie i rzekła całując ją serdecznie:

— Dobrze, kochane dziecko! Bóg cię obdarzył nie tylko złotym serduszkiem, ale i rozumną główką! Świetnie to obmyśliłaś i zgadzam się na twój projekt jak najchętniej.

— To doskonale! Ale, ciociu, trzeba to zrobić zaraz...

— Doskonale. Zaraz napiszemy list.

— I jeszcze jedno: o liście nie może wiedzieć nikt z domowników.

A gdy pani Żarkowska spojrzała na nią ze zdziwieniem, Lusia rzekła stanowczo:

106

— To jest konieczne! Później cioci powiem dlaczego. I musimy uważać, czy nas kto nie podsłuchuje lub nie podpatruje.

— Ależ dziecko, co ci chodzi po główce?

Zamiast odpowiedzi, Lusia jednym susem skoczyła do drzwi i otworzyła je gwałtownie, potrącając gospodynię, która odskoczyła jak oparzona, a po chwili krzyknęła ze złością:

— A cóż to znowu za zwyczaje na ludzi napadać! Patrzcie ją! Taka figa, takie coś z miasta, a rozbija się niby jaka księżniczka!

Nie przestając mamrotać i sypać pod adresem Lusi złośliwych uwag i epitetów, wojownicza gospodyni zawróciła i podreptała w stronę kuchni, nie myśląc nawet o wytłumaczeniu, dlaczego znalazła się pod drzwiami i to tak blisko, że przy niespodziewanym otwarciu jej zażywna postać mocno ucierpiała.

Pani Żarkowska patrzyła na tę scenę z prawdziwą przykrością, a gdy po zamknięciu drzwi Lusia wróciła do niej, rzekła z cichym westchnieniem:

— Masz słuszność, Lusieńko! Musimy kogoś sprowadzić. Kogoś, kto by był młodszy i energiczniejszy niż ja, a znów starszy i większy niż ty! Chodźmy do mojego pokoju. Tam wszystko obmyślimy i obgadamy bez obawy, że nas ktoś podsłucha i podpatrzy.

• * * *

Pani Alina Czerska wracała z plaży do pensjonatu. Była to pora obiadowa, więc ze wszystkich stron ciągnęły gromadki, w których przeważały dzieci rozbawione, roześmiane, dobrze już opalone, mimo że wakacje zaczęły się niedawno. Mniejsze czepiały się rąk matek, starsze szły samodzielnie grupkami, śmiejąc się, rozprawiając żywo, wnosząc z sobą urok beztróskiego wesela i radości.

Pani Czerska szła wolno, wodząc smutnym wzrokiem po przechodzących. Bawiła nad morzem od kilkunastu dni i ciągle nie mogła się przyzwyczaić do tego, że jest sama, a widok rozbawionych dzieci niezmiennie zwracał jej myśl ku Lusi.

Jaka szkoda, że jej tu nie ma! Pomimo że dziewczynka jest zdrowa i silna, pobyt nad morzem po całorocznej pracy przydałby się jej bardzo! Wprawdzie na wsi odpocznie również, ale to już nie to. Przy tym nie wiadomo, jakie stosunki panują w Zarkowicach. Właścicielka jest podobno bardzo kulturalną i dobrą osobą, ale czy będzie umiała postępować z Lusią? Bo jakkolwiek dziewczynka była bardzo inteligentna i miała złote serce, jednak była trudna do prowadzenia, ze względu na swoją niezwykłą popędliwość i specjalną wrażliwość na punkcie swego wzrostu, a przezwisko „Figa”, które jak na złość przyłgnęło do niej, doprowadzało ją do prawdziwej pasji, wywołując często nieobliczalne następstwa.

Myśląc o tym, pani Czerska niepokoiła się bardzo o Lusię, a niepokój ten wzrastał z powodu zupełnego braku wiadomości od niej.

Na list jej, wręczony przez starą Grzesiową, Lusia nie odpowiedziała. Wprawdzie nie odesłała pieniędzy, przeznaczonych na ewentualną podróż nad morze, czego można się było po gwałtownej dziewczynce spodziewać, ale ani słówkiem nie potwierdziła ich odbioru.

Tak! Pani Alina Czerska była dla Lusi zniechęconą macochą, której okazywała niechęć nieubłaganie i bezlitośnie, nie chcąc od niej przyjmować ani opieki, ani szczerej, prawdziwej serdeczności.

Było to tym mniej zrozumiałe, że Lusia straciła matkę, gdy miała dwa lata i nie mogła jej pamiętać, a pani Czerska od pierwszej chwili, gdy poznała Lusię, okazywała jej dużo sympatii i przywiązania.

Ta właśnie niczym nie usprawiedliwiona niechęć Lusi do macochy sprawiła, że pani Czerska była sama nad morzem i niepokoiła się bezustannie o Lusię.

W pewnej chwili przyspieszyła kroku, bo zobaczyła listonosza. A może jest jakaś wiadomość od Lusi? I jakkolwiek wszystko przemawiało za tym, iż spotka ją zawód, podeszła do listonosza, który właśnie zatrzymał się przed jej pensjonatem.

- Czy jest co dla mnie? Moje nazwisko Czerska.
- Owszem, proszę pani. Zaraz... O, pocztówka i list. To zdaje się wszystko.
- Dziękuję panu! — rzekła uprzejmie pani Czerska, biorąc korespondencję z rąk listonosza.

Pocztówka była od męża. Pisał tylko kilka słów, ale za to bardzo przyjemnych. Sprawy swe załatwił pomyślnie i prawdopodobnie będzie mógł przyspieszyć powrót do kraju.

- Doskonale! Może uda się jeszcze ściągnąć Lusię nad morze.

Na kopercie listu był jakiś zupełnie obcy charakter pisma. Naturalnie, nie od Lusi! Obojętnie, a nawet niechętnie otwierała pani Czerska list, ale zaraz zainteresowała się nim bardzo. Uderzyło ją, że było to jakieś jakby zbiorowe pismo. Na pierwszej stronie poznała charakter pani Żarkowskiej. Z biją-

109

cym sercem przeczytała w miłych, serdecznych słowach zredagowane zaproszenie do Żarkowic. Dalej jakieś zupełnie obce pismo — podpis Łapiński. Ten pan popierał prośbę pani Żarkowskiej, dodając, że przyjazd pani Czerskiej jest konieczny ze względu i na Lusię, i na panią Żarkowską, i na Żarkowice.

A dalej... pani Czerska ledwie oczom uwierzyć mogła. Dalej pisała Lusia.

Kochana Mamo.

- Pierwszy raz tak mnie nazwała! — zauważyła w myśli uszczęśliwiona pani Czerska i czytała dalej.

Przyłączam się do prośby o przyjazd Mamy. I prosiłabym, żeby to nastąpiło jak najprędzej. Jest nam Mama wszystkim bardzo potrzebna. Całuję ręce kochanej Mamy i czekam z niecierpliwością.

Lusia

- Ależ naturalnie! Jadę natychmiast! — zawołała pani Czerska, wchodząc szybko do pensjonatu.

110

- Co się stało? — zapytała właścicielka, spoglądając ze zdziwieniem na panią Czerską.
- Dostałam list i muszę zaraz wyjechać...
- Ale nic złego? — zapytała z uprzejmym zainteresowaniem właścicielka pensjonatu.
- Nie! Lecz muszę jechać zaraz... Rozumiem, że robię pani zawód, więc...
- O, proszę! Niech się pani tym nie kłopotce. Jeżeli pani chce jechać dziś na noc, to na pokój pani mam zaraz kandydatkę. Przecież to najgorętszy sezon. Ale teraz proszę na obiad. Będzie pani miała dość czasu na zapakowanie się i załatwienie wszystkich spraw.

Pani Czerska tak była przejęta otrzymanym listem, iż ledwie mogła usiedzieć przy stole, gdzie jej sąsiad uprzejmie informował ją o rozkładzie pociągów, tak że wstając od stołu mogła już zadesperzować, kiedy mają po nią przysłać konie z Żarkowic. Ale gdy zajrzała do listu, by upewnić się co do właściwego adresu, zobaczyła z niezmiernym zdziwieniem jakieś nie tylko nieznanne jej, ale bardzo dziwne nazwisko.

Tymdyryndzina. Osada Żarki.

— Coś w tym jest! — pomyślała, ale depeszę zaadresowała tak, jak tego chciał zbiorowy list. A potem zajęła się pakowaniem rzeczy, ledwie mogąc doczekać się chwili, gdy wreszcie znajdzie się w pociągu.

Przez cały czas podróży, ułożonej tak, by trwała jak najkrócej bez względu na zmęczenie, pani Czerska gubiła się w domysłach, co mogło być powodem tego listu, który nabierał pewnej tajemniczości przez podany adres, jakby chciano ukryć przed kimś jej przyjazd.

W miarę jednak zbliżania się do celu podróży, pani Czerska przestała się zajmować tą sprawą, a myśli jej zwracały się tylko do Lusi.

Czyżby naprawdę zaszła w niej zmiana? Czy będzie do niej mówiła: mamó? Jak się z nią przywita? Czy okaże jej trochę serdeczności? Czy przyjedzie na stację?

111

Z bijącym sercem wysiadała pani Czerska na małej stacyjce, rozglądając się pilnie po peronie, szukając drobnej, milutkiej postaci Lusi. Nie! Nie ma jej. Natomiast stoi jakiś nieskończenie długi i chudy niby sucha tyczka chłopak i przygląda jej się pilnie.

Wielkimi krokami zbliżył się do niej.

— Czy pani Czerska? — zapytał, kłaniając się uprzejmie.

— Tak. Pan zapewne z Żarkowic?

— Niezupełnie, gdyż właściwie nie mieszkam tam. Ale jestem przysłany po panią.

— A Lusia? Przecież nic się jej nie stało? — z niepokojem zapytała pani Czerska.

— Lusia miewa się doskonale i czeka z niecierpliwością na szanowną panią. Ja tu przyjechałam nie żarkowickimi końmi, a dlatego, to się szanowna pani dowie na miejscu. Pani pozwoli, że zajmę się jej walizkami, bo tu tragarzy nie ma. Ale bardzo przepraszam, dotąd się nie przedstawiłem: jestem Andrzej Winiarski.

— Bardzo mi przyjemnie! — rzekła pani Czerska, wyciągając rękę do nadmiernie długiego chłopca, przy którym, mimo swego dość dobrego wzrostu, wydawała się sobie mała.

A jak przy nim musi wyglądać Lusia? Naturalnie, jak figa!

Andrzej tymczasem, wzięwszy walizki pani Czerskiej, które uniósł w górę, jakby to były piórka, szedł dużymi krokami naprzód, odwracając się chwilami, by dawać pewne wyjaśnienia.

— Do Żarkowic jest tylko kilka kilometrów. Droga niezła. Będziemy na miejscu za pół godziny.

Gdy stanęli przed bryczuszką pani Tymdyryndziny, zaprzęgniętą w tęgiego konika, Andrzej zobaczył na twarzy pani Czerskiej wyraz zdziwienia, a nawet przerażenia.

— Szanowna pani, tak jak Lusia, myślała, iż przyjedzie po nią powóz, zaprzęgnięty w cztery konie! — zawołał wesoło.

— No, nie! — uspokojona pogodnym tonem chłopca odparła pani Czerska. — O czterech koniach nie myślałam. Czasy takich zaprzęgów już minęły. Ale przyznaję, że spodziewałam się trochę wspanialszego zaprzęgu.

112

— Uprzedzałem, iż to nie będą konie z Żarkowic. Zresztą wózek jest bardzo wygodny, a koń chodzi wyśmienicie. Wałek! zabierz walizki!

Z wielką uprzejmością Andrzej pomógł pani Czerskiej w usadowieniu się na wózku, po czym usiadł obok niej i krzyknął:

— Hej! Wałek! Do Żarkowic, a chyżo!

Pani Czerska nie mogła ciągle jeszcze przyjść do siebie, tak wszystko wydawało się dziwne i trochę niezrozumiałe.

Długi dryblas uważał za odpowiednie zabawiać swoją towarzyszkę rozmową, gdyż po chwili zagadnął:

— Okolica jest ładna, prawda?

— Niebrzydka. I ziemia niezła, tylko trochę zaniedbana! — pochwyciła szybko pani Czerska, rada z rozpoczętej rozmowy.

— To pani zna się na tych rzeczach? Pani Czerska uśmiechnęła się.

— Trochę. Wychowałam się przecież na wsi.

— O, to dobrze! — zawołał radośnie Andrzej.

— Dlaczego to pana tak ucieszyło? — zapytała ze zdziwieniem.

Andrzej zmieszał się trochę, po czym odparł niepewnym głosem:

— Bo to się bardzo przyda do naszych planów.

— Do jakich planów?

Andrzej nie odpowiedział, bo oto minęli zakręt i jadącym ukazały się łany pięknej, kołyszącej się lekkimi falami pszenicy.

— To już żarkowickie pola — objaśnił.

— Och! Jaka piękna pszenica! — zawołała z zachwytem pani Czerska.

— Prawda? Wszyscy mówią, że w całej okolicy nie ma piękniejszej.

— Bo i prawda! Aż oczy bołą patrzeć! — wykrzyknął Watek, odwracając ku siedzącym rozpromienioną szerokim uśmiechem twarz.

8 — Figa

113

— Jaka wielka przestrzeń... Toż to prawdziwe złoto — zachwycała się pani Czerska.

— Tak! To jedyny ratunek dla Żarkowic. A wie pani, że to Lusia uratowała tę pszenicę! — zawołał Andrzej.

— Lusia... uratowała... pszenicę? — nic nie rozumiejąc powtórzyła pani Czerska.

— Tak! Ale na razie niepotrzebnie pani zaprzętałam głowę tymi sprawami. Trzeba wiedzieć wszystko od początku! — objaśniał Andrzej widocznie niezadowolony z siebie.

Przecież wyraźnie było powiedziane, że całą sprawę omówią na miejscu wszyscy razem.

— Zaraz wjedziemy w lipową aleję, no i zobaczymy dwór — zmienił temat rozmowy.

— Już?

Pani Czerska poczuła znów bicie serca. Co zastanie w Żarkowicach? Czy dawną Lusię, niechętną, nieprzyjazną w stosunku do niej, czy też inną, odmienioną, taką, jaką pragnęła kochać, taką prawdziwą córeczkę?

— Ach! Jak tu pięknie! — wyrwał się pani Czerskiej okrzyk, gdy przy końcu alei ukazał się dwór żarkowicki.

Spojrzenie Andrzeja wybiegło ku gankowi... Lusi nie było. Czemu nie wyszła na powitanie?

Wózek zatrzymał się. We dworze było cicho i pusto, jakby w nim nikt nie mieszkał.

— Widocznie nie spodziewali się, że tak prędko przyjedziemy! — tłumaczył Andrzej zmieszany i zaniepokojony zarazem.

Co ta Lusia wyrabia! Przecież zdawało się, że wszystko dobrze się ułożyło! Lusia czekała z taką niecierpliwością na ten przyjazd, tak szczerze zajmowała się przygotowaniem pokoju dla przyjeżdżającej.

Robili różne plany, rozmawiali często o pani Czerskiej i Lusią zdawała się być zupełnie dobrze do niej usposobiona. Więc co się nagle stało? Co się odmieniło?

Nagle z głębi dworu dobiegły dźwięki fortepianu.

114

— Acha! — zawołał uradowany Andrzej. — Teraz rozumiem. Ciocia Żarkowska „zagrała się”, a Lusią „zasłuchała”. W takich wypadkach obie są nieprzytomne. Pani pozwoli do pokoju, o tędy.

— Wałek! — zawołał, zwracając się do chłopaka idącego na pole — zjedź w cień i poczekaj na mnie. Obrok masz?

— To się wi — odparł chłopak i odjechał powoli.

— Może pani zechce tu poczekać. Ja zaraz pobiegnę po Lusią i panią Żarkowską! — mówił uprzejmie Andrzej, wprowadzając panią Czerską do domu.

— Nie! Nie trzeba im przeszkadzać. Pójdziemy tam razem.

— A więc proszę za mną! — zgodził się chętnie Andrzej. Dźwięki muzyki rozbrzmiewały już teraz po całym domu

i pani Czerska, jak każdy prawie, kto pierwszy raz usłyszał panią Żarkowską grającą, zawołała z zachwytem:

— Ależ to artystka!

— Tak! — potwierdził Andrzej. — Poza swą muzyką, poza swoim fortepianem świata nie widzi!

Ale tym razem pani Żarkowska nie była tak pochłonięta muzyką jak zwykle, gdyż za ledwie usłyszała skrzypnięcie otwierających się drzwi, zerwała się od fortepianu i pobiegła ku wchodzącym.

— Stokrotnie panią przepraszam! — wołała wyciągając obie ręce do pani Czerskiej. — Znów się „zagrałam” i nie zdążyłam wyjść, by panią powitać. A tak szczerze obie z Lusią cieszyłyśmy się na pani przyjazd, prawda Lusiu? Ale gdzież jest Lusiu? — dodała, rozglądając się wokoło.

Andrzej od razu, gdy tylko wszedł, zauważył, że Lusiu nie ma w salonie i zrobiło mu się znów bardzo przykro.

— Zapewne Lusiu zabawiła się gdzieś w parku i lada chwila przyjdzie, by się ze mną przywitać — rzekła pani Czerska, z trudem opanowując uczucie wielkiej przykrości.

— Ach, nie! — przerwała żywo pani Żarkowska. — Lusiu nie mogła się doczekać pani przyjazdu i prosiła, bym jej pozwoliła wyjść naprzeciwko. Naturalnie pozwoliłam, no i wyszła jakieś pół godziny temu.

115

— Ależ, gdyby wyszła naprzeciwko nas, spotkalibyśmy ją po drodze! — zawołał Andrzej, a w głosie jego słychać było zaniepokojenie.

— Może poszła inną drogą — starała się uspokoić go pani Czerska.

— Nie ma innej drogi, by się z niej dostać na szosę, jak aleja lipowa i tamtędy tylko mogła pójść Luscia! — rzekła pani Żarkowska, dziwnie zmienionym głosem.

Jej szczupła twarz nabrała ziemistoszarej barwy, w oczach malowała się groza.

— Więc co... się... mogło... stać...? — pobielatymi wargami wyszeptła pani Czerska, której udzielił się przestraszony dźwięk.

— Nie wiem... Nie wiem... Ale czuję coś złego...

— Ależ tak nie można, ciociu... Zaraz coś złego... Trzeba poszukać... dowiedzieć się...

— Tak! Tak! Trzeba szukać! Poruszyć wszystko — mówiła nerwowo pani Żarkowska, drżącą ręką naciskając gwałtownie dzwonek. — Trzeba przede wszystkim wybadać służbę.

— Może by jednak pan Andrzej przeszedł się po parku i poszukał Lusi... Zdaje mi się, że jej nieobecność spowodowana jest moim przyjazdem. Prawdopodobnie w ostatniej chwili odżyła jej niechęć dla mnie i to jest powodem jej zniknięcia — mówiła ze smutkiem w głosie pani Czerska.

— Wątpię, chociaż przyznaję, że byłoby to jeszcze najlepsze ze wszystkiego. Andrzej! Pobiegnij do parku! Ach! Czemuż ta gospodyni nie przychodzi!

I znów białe palce niecierpliwie naciskały dzwonek.

W odpowiedzi rozległo się człapanie rozdeptanych pantofli gospodyni, a po chwili w otwartych drzwiach stanęła ona sama w całej swej okazałości. Naturalnie od razu z ust jej zaczął się wydobywać cały potok słów skrzekliwych, pełnych złości.

— Cóż to? Pali się, czy co? Człowiek chwili spokoju nie ma od tego dzwonka. Czego tam pani znów chce?

116

Pani Żarkowska, nie zwracając uwagi na ordynarne zachowanie się gospodyni, zbliżyła się do niej i mierząc ją przenikliwym, badawczym wzrokiem, zapytała ostro:

— Gdzie jest panienka?

— A cóż to! Niańka jej jestem, albo co... Jeszcze by tego brakowało, żebym dzieciaka pilnowała... — zaczęła zuchwałym tonem gospodyni, ale jej głos słabł powoli, a słowa plątać się zaczęły niepewnie.

Oczy dwóch kobiet, mierzące ją surowym spojrzeniem, odejmowały jej zwykłą pewność siebie. Dziedziczka wydawała jej się przy tym jakaś większa i dziwnie groźna, a od tamtej drugiej szła jakaś wielka siła.

- O, to pewnie matka tej małej figi! Ale skąd się tu wzięła?
- Nie wiem, gdzie jest panienka — mówiła znacznie uprzejmiej. — Widziałam, jak szła w aleję lipową...
- Kiedy? — zapytała pani Żarkowska.
- Może godzinę temu, może pół...
- Czy nie widzieliście, żeby kto za nią szedł?

117

82

- Nie... Nikt aleją lipową nie chodził teraz, na pewno! — odparła stanowczym głosem.
- Dobrze! Idźcie teraz i zwołajcie do czeladnej całą służbę... wszystkich, rozumiecie? I to zaraz! Za pięć minut tam będę — rozkazywała pani Żarkowska stanowczym tonem, jaki mało kto u niej słyszał.
- Słucham pani dziedziczki! — przeszedłszy od zuchwałości w pokorę rzekła gospodyni i pocztała z pośpiechem do kuchni.
- Ja tymczasem pobiegnę do parku, a za pięć minut będę w czeladnej — rzekł Andrzej i jednym susem przesadził parapet okienny.

Za chwilę rozległo się nawoływanie:

- Halo! Lusu! Gdzie jesteś! Hop! Hop! Lusu... Lu... siu...!
- Pokażę pani tymczasem jej pokój. Jest obok pokoju Lusi. Ona sama go przygotowała. Pewnie pani będzie chciała trochę odpocząć, umyć się — proponowała pani Żarkowska, lecz matka Lusi odparła żywo:
- Proszę nie zajmować się mną. Chcę być przy pani. Może się na coś przydam, a jednocześnie, będąc z panią, postaram się zorientować w sytuacji. Bo dotąd niewiele rozumiem...
- Mieliśmy pani wszystko opowiedzieć i wytłumaczyć, dlaczego tak gwałtownie przerwaliśmy jej pobyt nad morzem, tymczasem... Ach, Boże! Nie ma pani pojęcia, jaka jestem niespokojna... Jak to dobrze, że pani jest ze mną! Sama nie dałabym sobie rady...
- Och! Pani jest taka energiczna.
- Ja? — zdziwiła się pani Żarkowska. — Ależ ja jestem zupełnie bezradna, gdy chodzi o jakieś ważniejsze sprawy, szczególnie materialne...

Z parku tymczasem dochodziły ciągle nawoływania Andrzeja; przy ostatnich słowach pani Żarkowskiej rozległy się znacznie bliżej i po chwili chłopiec, przesadziwszy znów parapet, znalazł się w pokoju. Był bardzo zmieniony i z trudnością ukrywał wzrastające w nim z każdą chwilą przerażenie.

- Tak jak się spodziewałem, nigdzie ani śladu! Trzeba będzie szukać dalej.
- Czy tu jest gdzie w pobliżu rzeka czy staw? — niepewnym głosem zagadnęła pani Czerska.
- Nie, nie ma! Lecz, na Boga, co pani przychodzi do głowy! — krzyknęła przerażonym głosem pani Żarkowska.
- Nic! Nic! Tylko nie znam tej okolicy... Chciałam się upewnić... No, ale teraz chodźmy... Tam pewnie służba już się zebrała — mówiła pani Czerska, która powoli zaczynała opanowywać sytuację.

W czeladnej było pełno; zebrała się cała lub prawie cała służba. Spojrzenia wszystkich zwróciły się ku wchodzącym, szczególnie ku pani Czerskiej, o której już wiedzieli, że jest matką zaginionej dziewczynki.

Andrzej zauważył, że gospodyni była odosobniona, jakby nie chciano przyznawać się do zażytych z nią stosunków.

- Wiecie już zapewne, że panienka, która przyjechała z Warszawy przed kilkoma dniami, wyszła dziś naprzeciwko matki i dotąd nie wróciła. Chciałam się dowiedzieć, czy ktoś z was widział panienkę i kiedy?
- pytała, siląc się na spokój, pani Żarkowska.

Okazało się, że kilka osób widziało Lusię w parkowej alei, potem jednak nikt już nic o niej nie wiedział.

- Panienka pewnie zabłądziła! Trzeba jej poszukać... Musicie to zrobić zaraz i to wszyscy, bez wyjątku. Daleko zająć nie mogła, bo minęła — tu pani Czerska spojrzała na swą bransoletkę z zegarkiem — zaledwie godzina od mojego tu przyjazdu, a półtorej od wyjścia mojej córki z domu. Mam nadzieję, że wam, znającym doskonale okolicę, uda się wkrótce trafić na ślad mojej Lusi. Naturalnie ten, kto odnajdzie panienkę, zostanie odpowiednio nagrodzony!

Te ostatnie słowa zrobiły wrażenie na zebranych, ale niejednakowe, bo Mateusz, jeden z niewielu pozostałych z dawnej służby dworskiej, wystąpił nieco naprzód i z pewną jakby urazą w głosie, rzekł:

- Szukać to będziemy, ale nie dla pieniędzy, jeno że wiemy, jak to ciężko sercu matczynemu, gdy ma niepokój o dziecko!

Kilka głosów przytaknęło gorąco, a pani Czerska, zbliżywszy się do starego, wyciągnęła doń rękę i rzekła serdecznie:

- Bóg wam zapłać za dobre słowo! No a teraz — dodała zwracając się do pozostałych — spieszcie, bo może tam moje maleństwo błąka się gdzieś i na próżno czeka pomocy.
- A gdzież jest Klimek? — zapytała nagle, rozglądając się po zebranych, pani Żarkowska.

Chwilę panowała cisza, po czym Mateusz mruknął niechętnie:

— A gdzieżby miał być! Pojechał do swego pana! No, a teraz naprzód wiara! Musimy znaleźć panienkę!

Zapanował gwar. Rzucono się tłumnie do drzwi. Mateusz, objąwszy komendę, wydawał rozporządzenia, w którą stronę kto ma wyruszyć.

W czeladnej pozostała sama tylko gospodyni, która chwilę wahała się, co ma robić, po czym podreptała za panią Żarkowska.

— Proszę pani dziedziczki! — rzekła pokornym tonem. — Ja tam do szukania się nie zdam; za ciężka jestem i nogi mi nie chodzą dobrze. Zresztą ja tu jestem potrzebniejsza. Bo to przecież zmartwienie zmartwieniem, ale zjeść też coś trzeba. Wielmożna pani z drogi przecież, zmęczona pewnie i głodna.

Nie można jej było nie przyznać słuszności. Pani Czerska poczuła w tej chwili, że jest w drodze więcej niż dobę i właściwie mało co jadła przez cały czas. A ta przemiła pani o młodej twarzy i bielutkich włosach nie wygląda na zbyt silną. A tu, kto wie? Może trzeba będzie dużo jeszcze namęczyć się i siły będą potrzebne.

To samo mniej więcej myślał Andrzej, który jednocześnie spoglądał z podziwem na grubą gospodynię.

— Ale ta baba umie się zmieniać z furii w baranka. Teraz, choć do rany ją przyłóż. I obiad poda na pewno znakomity! — pomyślał, głośno zaś poparł gospodynię.

120

— Sądzę, że dobrze będzie, jeżeli gospodyni zajmie się obiadem. Panie są zmęczone i trzeba się posilić.

Gospodyni pochwyciła potakujący ruch głowy pani Żarkowskiej i pospiesznie wyszła z pokoju.

— Tak... Trzeba się wzmocnić, tym bardziej, że czeka nas niedługo przeprawa z Rudolfem — rzekła z cichym westchnieniem pani Żarkowska, a uchwyciwszy pytające spojrzenie pani Czerskiej dodała — Rudolf jest moim siostrzeńcem. Do niego pojechał Klimek, który jest u mnie ogrodnikiem, a zarazem jakby łącznikiem między mną i Rudolfem. Jestem pewna, że w tej chwili Rudolf już wie o zniknięciu Lusi.

— Tą drogą szanowny pan Rudolf jest zawsze doskonale poinformowany o wszystkim, co się dzieje w Żarkowicach — z ironią zauważył Andrzej.

— Tym razem może nam to wyjść na dobre, gdyż Rudolf na pewno niedługo nadjedzie i może będzie mógł nam udzielić jakich wiadomości.

— Wątpię... Zresztą zobaczymy... Na razie pożegnam panie.

— Jak to? Nie zostaniesz na obiedzie?

— Nie mogę. Muszę zawiadomić moich „szefów" o tym, co się stało. No i rozpocznę na swoją rękę poszukiwania, w czym na pewno wszystkie trzy rodziny mi dopomogą. Zresztą wpadnę tu, gdy tylko będę miał jakieś wiadomości. Tymczasem proszę być dobrej myśli: wszystko musi się skończyć dobrze!

łatwo to powiedzieć: być dobrej myśli. Lecz ani Andrzej pędzący co koń wyskoczy aleją lipową, ani obie panie, starające się opanować niepokój, szarpiący ich sercami, nie miały dobrych myśli.

Przy obiedzie, nadzwyczaj smacznym i dobrze podanym, pani Czerska starała się nawiązać rozmowę, by móc się jak najlepiej zorientować w sytuacji. Domyślała się już, dlaczego tak gwałtownie zapraszano ją do Żarkowic. Działy się tu jakieś złe rzeczy. Ktoś chciał skrzywdzić tę przemiłą kobietę o srebrnych włosach, a ona nie umiała się bronić, no i Lusia sprowadziła ją na pomoc.

121

Kochane, dobre stworzenie! Nie! Nie! Przecież nie podobna, żeby jej się co złego stało. Wprawdzie w tej chwili odpadło już przypuszczenie, że Lusia ukryła się, by nie przywitać macochy, ale możliwe było, że zabłądziła. Może chciała skrócić sobie drogę, poszła jakąś boczną ścieżką i wyszła w zupełnie innym kierunku...

Mimo tego tłumaczenia pani Czerska czuła, że niepokój jej wzmagają się coraz bardziej. Dotąd jeszcze nikt z szukających nie wrócił. Nie przyjechał też jeszcze, wbrew przewidywaniom, ów pan Rudolf.

Pani Czerska obawiała się wyjść na poszukiwania rozumiejąc, że błądzenie po zupełnie nieznanym okolicy do niczego nie doprowadzi. Krążyła więc po całym domu, badawczo przyglądając się wszystkiemu.

Tak! Gospodarka tu była fatalna! Bardzo cenne zabytki zakurzone, poobtłukiwane, poniszczone. W niektórych miejscach wyraźny brak wielu rzeczy. Tak na przykład na ścianach parę pustych miejsc świadczących, iż zostały stąd zdjęte jakieś obrazy... na pewno cenne. W kredensie na wierzchu srebro rozrzucone niedbale; na pewno po sprawdzeniu okazałyby się poważne braki. Och! Jakże chętnie zabrałyby się pani Czerska do robienia w tym wszystkim porządku! Lusia by jej pomagała...

Jakiś turkot... Ktoś przyjechał... Może będą jakieś wiadomości...

Obie panie prawie jednocześnie wybiegły na ganek, lecz pani Czerska od razu cofnęła się nieco, spostrzegłszy wysiadającego z eleganckiego wolanta tęgiego mężczyznę o niesympatycznej, nalanej twarzy.

— To na pewno ten Rudolf! — pomyślała z dziwną niechęcią do człowieka, którego zobaczyła po raz pierwszy w życiu.

— Cóż to? Ciocia ma podobno kłopot z tą warszawską figą! — mówił grubym głosem, wyciągając swe obfite kształty z bryczki. — Potrzebne to było sprowadzać tu dzieciaka... To nie dla cioci! Na to, żeby się opiekować dzieckiem i do tego cudzym, trzeba mieć i czas, i pieniądze. No i trzeba umieć.

122

A z tym diabłem nie tylko ciocia, ale mało kto dałby sobie radę...

Pani Żarkowska, która wiedziała, że matka Lusi była gdzieś niedaleko i mogła słyszeć słowa Rudolfa, na próżno starała się przerwać potok jego wymowy, aż wreszcie zawołała, korzystając z tego, że grubas zasapał się i przestał na chwilę mówić.

— Rudolfie! Pozwól... Jest... u mnie właśnie pani Czerska...

— Jestem matką tego nieznośnego diablątka! — mówiła pani Czerska, stając przed zasapanym Rudolfem. — Pani Żarkowska spodziewała się, że pan będzie mógł udzielić nam wiadomości o zaginionym dziecku.

— Rudolf Holowy... — wykrztusił wyraźnie zmieszany grubas. — Bardzo przepraszam, że tak szorstko wyrażałem się o pani pasierbicy. Bo, zdaje się, jest pani macochą dziewczynki?

— Jest pan bardzo dobrze poinformowany — z ironią zauważyła pani Czerska. — Zresztą to jest w tej chwili obojętne. Chodzi o to, że dziecko musi się znaleźć.

— Tak! Lusia musi się znaleźć! — z niezwykłą u niej stanowczością potwierdziła pani Żarkowska.

— Naturalnie! Ale cóż ja tu mogę zrobić? Sądzę, że przede wszystkim trzeba zawiadomić policję.

— Więc pan nic nie może nam poradzić w tej sprawie?

— Ależ naturalnie, że nic... Niedawno się o tym dowiedziałem i naturalnie zaraz przyjechałem, bo wyobrażałem sobie, jak ciocia się tą sprawą przejmuje. Przy tym mam parę spraw do załatwienia... Ale ciocia jest taka zdenerwowana... Wie ciocia co? Chodźmy do salonu... Ciocia nam zagra...

Pani Czerska, która bacznie obserwowwała niesympatycznego człowieka, bezwiednie porównywała go do gospodyni. Tak samo jak ona potrafi zmieniać skórę. Przed chwilą szorstki, prawie opryskliwy, nagle stał się słodki, niemal serdeczny.

— No, ciociu, idziemy grać — mówił dalej, ujmując panią Żarkowska pod rękę.

Ale ta szarpnęła się niespodziewanie energicznie i rzekła, patrząc prosto w oczy panu Rudolfowi:

123

— Słuchaj! Zapowiadam ci stanowczo, że nie siądę do fortepianu, póki się Lusia nie znajdzie!

I znów uderzyła panią Czerską zmiana wyrazu twarzy pana Rudolfa. Widać w niej było wyraźny przestрах i ukrytą złość.

— Nic nie rozumiem! — pomyślała w duchu, ale w tej chwili uwaga obydwóch pań zwróciła się ku nadchodzącym przed ganek kilku mężczyznom.

— No i co? No i co? — pytała niecierpliwie pani Żarkowska, wychodząc naprzeciwko nim.

— A no! Nigdzie ani śladu! — odparli. — Może innym się poszczęści.

Lecz i inni, nadciągający powoli, powtarzali to samo.

Pan Rudolf, który po oświadczeniu pani Żarkowskiej, że nie siądzie do fortepianu, póki zaginione dziecko się nie znajdzie, zaczął goręcej brać tę sprawę do serca. Wypytywał, dokąd chodzili, gdzie szukali, czy nie natknęli się gdzie na obcych ludzi, ale wszystkie razem wzięte odpowiedzi nie wyjaśniły ani na jotę tajemnicy zniknięcia Lusi.

W pewnej chwili zjawił się zadyszany piętnastoletni Janek, syn jednego z fernali, który zamaszycie się kłaniając, począł mówić urywanym głosem:

— A to proszę pani dziedziczki, biegałem aż do szosy. No i spotykam Wiktorka, tego, co po proszonemu chodzi. Więc pytam, czy panienki nie widział. A on na to, że widział, że szła taka mała panienka, a potem, że jechały wozy, a w nich Cygany i komediancy... To ja zaraz z powrotem i mówię, że może te Cygany panienkę porwały.

Między zebranymi, którzy coraz tłumniej przed ganek dworu ściągali, zapanowało poruszenie i rozległy się głosy:

— Bo i prawda! Cygany mogły porwać dziecko! Bo przecie pod ziemię się nie zapadło. Wszędzie obszukaliśmy.

Ale byli tacy, co wyrażali wątpliwości.

— Wiktorek przecie głupi, gada nie wiedzieć co!

— E, nie taki on znowu głupi. Swój rozum ma — upierali się inni.

124

Janek miał czapkę w rękach i patrzył niespokojnie, co powie pani dziedziczka.

— Głupstwo! — krzyknął pan Rudolf. — Nie będziemy sobie zaprzętać głowy takimi bajkami! Dzisiaj Cyganie nie zajmują się porywaniem dzieci. Co by im z tego przyszło?

— Jednak trzeba to wziąć pod uwagę! — zauważyła pani Czerska. — Jeżeli to wędrowny cyrk, Lusie mogła być dla nich cenną zdobyczą. Jej drobna figurka, miła powierzchowność i świetne wygimnastykowanie, co znać w jej ruchach, mogły ich skusić...

— Och! Andrzej! Może on nam co powie! — krzyknęła w tej chwili pani Żarkowska, spostrzegłszy zbliżającego się na spienionym koniu chłopca.

Pan Rudolf ściągnął niechętnie brwi. Nie lubił Andrzeja, nie lubił jego jasnego spojrzenia, dziwnie przenikającego do duszy, nie lubił jego pięści, gotowych zawsze bronić słusznej sprawy, jego wielkiego wzrostu, nadającego mu pozory dorosłego człowieka.

Andrzej zeskoczył szybko z konia i nie zwracając uwagi na otoczenie, stanął przed paniami.

- Niestety, nic! — wyszeptał spieczonymi gorączką ustami.
- Tu mówili o cyrku wędrownym — zaczęła pani Czerska. Andrzej machnął beznadziejnie ręką.
- Sprawdzaliśmy, bo i do nas to doszło. Policja zrobiła dokładną rewizję wozów, z innego zresztu powodu. Ogrodnik Tymdyrynda był przy tej rewizji i wspominał przodownikowi o Lusi.
- Więc co teraz? — bezradnie spytała pani Zarkowska.
- Myślałem, że może tu zastanę jakieś wiadomości. Miałem nadzieję, że może Iwona... Ona przecież zjawia się zawsze nieoczekiwanie, gdy jest potrzebna.
- Prawda! Iwona! To dziwne, że jej nie ma. Już kilka dni jej nie widziałam — mówiła pani Zarkowska.
- Ach! Nie można się liczyć z tą niepoczytalną istotą! — mruknął niechętnie pan Rudolf, a zwracając się do zebranych

125

ludzi wydał rozkaz: — Możecie się rozejść! A gdyby ktoś czegoś się dowiedział, natychmiast dać znać.

— To się wi! Zaraz do pani dziedziczki ze wszystkim — odparł Mateusz, z wyraźną niechęcią patrząc na pana Rudolfa.

* * *

Słońce już dawno zaszło... Ileż to czasu upłynęło od zniknięcia Lusi? Och! Tyle godzin? Co się z nią działo? Gdzie się podziewa?

Te myśli dręczyły wszystkich siedzących w pokoju jadalnym.

Pan Rudolf odjechał zapewniając, że użyje wszystkich swych „wpływów i stosunków”, poruszy „niebo i ziemię”, by wrócić spokój „kochanej cioci” i usłyszeć znowu jej piękną muzykę.

— Na fortepianie, który omal że przez tego pana nie został zlicytowany! — mruknął ironicznie Andrzej, gdy pan Rudolf wyszedł.

— Dlaczego tak mu zależy na pani muzyce? — zapytała matka Lusi.

Pani Żarkowska milczała chwilę, widocznie zmieszana, wreszcie odpowiedziała, ociągając się.

— Rudolf wie, że gdy gram, zapominam o wszystkim... Często, by mi nie przerywano, załatwiałam różne sprawy, nie wiedząc prawie o co chodzi...

— Aha... A temu panu widocznie chodziło o załatwienie czegoś... — domyślała się pani Czerska. — Jeszcze chciałabym się dowiedzieć pewnych szczegółów o Iwonie. Trochę mi mówił o niej pan Andrzej... Ale chciałabym wiedzieć, gdzie ona mieszka. Odnalezienie jej mogłoby nam bardzo pomóc w odszukaniu Lusi, pomimo że Iwona podobno nic nie mówi.

— Otóż to właśnie, że nie mam pojęcia, gdzie szukać Iwony! — odparła zakłopotana pani Żarkowska. —
Zjawiała

126

się zawsze niespodziewanie w chwilach, gdy była potrzebna; miałam więc wrażenie, że mieszka gdzieś
we dworze.

— Nie! — rzekł stanowczo Andrzej. — Z tego, czego się dowiedziałem od ludzi, Iwona nie mieszka we
dworze. Ma jakąś kryjówkę, którą ludzie określają, po swojemu „mieszka pod ziemią”, a co według mnie
może być jakimś szczątkiem okopów z wojny światowej.

— To bardzo możliwe. Dla Iwony, od owego tragicznego dnia, gdy straciła synów, istnieje to tylko, co ma
jakikolwiek związek z wojną... Doprawdy nie mogę zrozumieć, jak mogłam dotąd nie zainteresować się tą
sprawą — z zakłopotaniem mówiła pani Żarkowska.

— Musimy odnaleźć mieszkanie Iwony i ją samą. Mam niezłomne przekonanie, że przez nią dowiemy się
czegoś o Lusi... I dlatego to pozwoliłam sobie bez wiedzy pani wydać pewne rozporządzenie. Mianowicie,
kazałam kilku ludziom zjawić się tu z pochodniami. Dla siebie kazałam osiodłać konia. Poza tym, również
bez pani wiedzy, posłałam umyślnego z depeszą do mojego męża, którego proszę o przyspieszenie
powrotu. Przypuszczam, że nie weźmie mi pani tego za złe?

Pani Żarkowska uśmiechnęła się serdecznie do matki Lusi.

— Ależ wszystko jest do pani dyspozycji! Przecież bez pani nie dalibyśmy tu sobie rady, prawda
Andrzeju?! Doprawdy, podziwiam pani energię! Zdecydowała się pani jechać na poszukiwania w nocy?

— O, to nic wielkiego. Jestem wychowana na wsi. Jeżdżę dobrze konno... I proszę mi wierzyć, łatwiej
będzie mi spędzić noc na koniu z poczuciem, że jednak coś się robi dla mojego biednego dziecka, niż w
bezzradniej beczynności w domu. No, ale teraz czas na nas, panie Andrzeju. Pójdę tylko na chwilę do
swego pokoju, by zmienić suknię i jedziemy.

To mówiąc pani Czerska wstała od stołu, lecz nagle znieruchomiała z oczami utkwionymi w dziwną
postać, która ukazała się niespodziewanie w otwartych drzwiach.

Wysoka, sucha kobieta o bardzo chudej, pobrużdżonej twarzy, o haczykowatym nosie, w wielkim czepcu
na głowie robiła

127

wrażenie jakiejś postaci z bajki. Ale nie ona przykuła uwagę pani Czerskiej, lecz to, co trzymała na rękach.
Jakaś figurka, niby wielka lalka z obandażowaną główką, spoczywała na rękach Iwony.

Po chwilowym osłupieniu pani Czerska rzuciła się do Iwony.

— Lusiu! O Boże! Co się stało!

Za nią pospieszyła pani Żarkowska i Andrzej, oboje z tym samym okrzykiem.

Iwona odsunęła wszystkich i bezszelestnym krokiem zbliżywszy się do staroświeckiej kanapy, ułożyła na niej Lusię, po czym również bezszelestnie wyszła z pokoju.

Obie panie i Andrzej pochyleni nad leżącą wpatrywali się z przerażeniem w bladą twarzączkę z zamkniętymi oczami.

Pani Czerska ujęła rękę Lusi.

— Puls równy... Oddech regularny — wyszeptwała.

— Robi takie wrażenie jakby spała — dodała pani Żarkowska.

— Jest ranna... głowę ma obandażowaną... Trzeba natychmiast sprowadzić doktora! — denerwował się Andrzej.

— Tak... Tu przede wszystkim potrzebny jest doktor — zgodziła się pani Czerska. — Jak długo potrwa sprowadzenie go?

— O... dobre kilka godzin! Ale mogę panią uspokoić. Iwona umie świetnie opatrywać rany i na pewno zrobiła wszystko, co w pierwszej chwili trzeba było zrobić — zapewniła z wielką stanowczością pani Żarkowska. — Ale otóż i ona!

Rzeczywiście. Znów bezszelestnie, jakby spod ziemi wyrosła, zjawiała się Iwona. W ręce trzymała kubek, z którego rozchodził się silny ziołowy aromat.

Stała przed panią Czerską i podała jej kubek patrząc tak wymownie, iż matka Lusi jakby otrzymała rozkaz, ująwszy kubek przytknęła go do ust leżącej dziewczynki.

Iwona miękkim ruchem uniosła głowę Lusi i po chwili nieruchome dotąd usta dziecka poruszyły się, chwytając chciwie podawany mu napój.

128

Łyk za łykiem przedostawał się ożywczy płyn do spragnionego gardła i jednocześnie ożywiała się blada twarzączka, na którą występować zaczęły lekkie rumieńce. Wreszcie zamknięte powieki uniosły się i Luscia spojrzała wokoło zupełnie przytomnym wzrokiem.

Iwona wyjęła z rąk pani Czerskiej opróżniony kubek i swoim zwykłym bezszelestnym sposobem zniknęła z pokoju.

A Luscia patrzyła kolejno na panią Żarkowska, Andrzeja, wreszcie oczy jej spoczęły na pochylonej ku niej pani Czerskiej...

Żywy rumieniec oblał bladą przed chwilą twarzączkę, w oczach odbiło się wzruszenie i zawstydenie.

— Przepraszam cię za wszystko, mamó! — szepnęła i chwyciwszy rękę pani Czerskiej, ucałowała ją serdecznie.

— Dziecinko moja! Kochanie! Och, jakże się cieszę, że cię odzyskałam! — mówiła pani Czerska, przyciskając do siebie wzruszoną dziewczynkę.

Ponowne wejście Iwony przerwało tę scenę. Iwona tym razem trzymała w rękach tacę, zastawioną różnymi smakoły-

9 — Figa

129

kami. Widać dobrze wiedziała, czego trzeba było jej pacjentce, gdyż ledwie ustawiła tacę na stoliku przy kanapie, oczy Lusi zabłyśły wesoło, a z ust wyrwał się szczery okrzyk.

— Och! Jaka ja jestem głodna!

— Wiwat! Kto jest głodny, ten jest zdrow! — zawołał radośnie Andrzej.

— O... Zioła Iwony są niezawodne! — z przekonaniem rzekła pani Żarkowska, serdecznie patrząc na staruszkę.

Ta powiodła po zebranych błyszczącymi oczami, podniosła suchą, czarną rękę, nakreśliła nią krzyż i wycofała się z pokoju.

A tymczasem Lusja pałaszowała z zapałem przyniesioną przez Iwonę kolację ku wielkiemu zadowoleniu wszystkich. Tak! Kto ma taki apetyt, nie może być chory!

Ale co znaczy ta obandażowana głowa? I co się działo z Lusią przez tych kilka ciężkich, męczących godzin?

Odpowiedź na to dała sama dziewczynka, która zaspokoiwszy pierwszy głód, zawołała ze szczerym zawstydzeniem:

— Ach! Ja sobie zajadam w najlepsze, a właściwie powinnam dostać porządnego klapsa od wszystkich po kolei, a najmocniejszego od ciebie, mamó!

— Ależ dziecko! Co ty wygadujesz! Wszyscy jesteśmy tacy szczęśliwi, że jesteś z nami! — gorąco zaoponowała pani Czerska.

Ale Lusja upierała się przy swoim.

— Naprawdę zasługuję na karę. Wszyscy się zgodzą ze mną, gdy opowiem, jak głupio postąpiłam.

— Nie! Nie! Teraz musisz odpocząć! Jutro opowiesz nam swoje przygody! — zdecydowały obie panie.

Lusia energicznie potrząsnęła obandażowaną głową.

— Widocznie nie bardzo ją boli! — zauważył w duchu Andrzej, którego pożerała ciekawość dowiedzenia się, co się działo z jego małą przyjaciółką w ciągu kilku godzin niepokoju i udręki. Przeczyna „Figa” odgrywała tu poważną rolę.

I nie omylił się!

130

Lusia uparła się, mówiąc, że nie mogłaby zasnąć, gdyby się nie wyspowiadała ze swej winy, i zaczęła opowiadać.

— Chciałam jak najprędzej przywitać cię, mamó, podziękować, żeś spełniła moją prośbę, chociaż naprawdę zupełnie na to nie zasługiwałam, i pobiegłam aleją lipową, licząc na to, że zaraz nadjedziecie.

Dobiegałam już do szosy, gdy zauważyłam idącego drogą małego człowieczka. Nie mogłam się w pierwszej chwili zorientować czy to był człowiek dorosły, czy dziecko, bo choć wzrostu był małego, twarz miał zupełnie starą. Był ułomny, dźwigał duży garb i powłóczył jedną nogą. Widok tego garbuska ze smutnymi, zapadłymi oczami wzbudzał litość, toteż oburzyło mnie, że dwaj młodzi chłopcy, którzy szli za nim, obrzucali go drwinami, a jeden z nich w pewnej chwili podbiegł do niego i wymachując długim prętem, zawołał:

„Prędej, garbata chabeto*, bo cię batem po kulawych nogach podzielę!”

Biedny kaleka, widocznie przerażony, zaczął uciekać niezdarnie, lecz potknął się i upadł.

Jego dręczyciele wybuchnęli śmiechem i rzucili się do leżącego, wymachując nad nim różgami. Tego już było dla mnie za wiele. Dосkoczyłam do obrzydliwych chłopaków i krzyknęłam z oburzeniem:

„Precz stąd, wstrętne chłopaczyska! Jak wam nie wstyd znęcać się nad biednym kaleką!”

Rozumiecie, co się stało dalej...

Chłopcy z początku zamilkli, zdziwieni moim niespodziewanym ukazaniem się, ale zaraz potem zaczęli się śmiać. Och! co to znaczy śmiać się! Po prostu wyli ze śmiechu, no i naturalnie usłyszałam ten znienawidzony wyraz:

„Figa! O! Patrzcie! Taka figa nam rozkazuje! Jednym palcem można ją zgnieść! Figa! Figa!”

Oczy przestoniła mi czerwona mgła. Opanowała mnie wściekłość. Zapomniałam o wszystkich postanowieniach, któ-

* chabeto — (w gwarze) nędzny koń.

131

re tyle razy robiłam, zapomniałam o wszystkich rozumnych radach Andrzeja...

„Figa! Figa!” — brzmiało mi w uszach, zagłuszając wszystko.

Rzuciłam się na chłopaków i dzieliłam jednego tym wypróbowanym uderzeniem dziudzitsu, którym mali Japończycy mogą się obronić przed znacznie większymi od siebie ludźmi.

Jak przez mgłę dojrzałam zrywającego się z ziemi kalekę, szybko uciekającego... Przez mgłę również widziałam padającego uderzonego przeze mnie chłopca, podczas gdy drugi doskakiwał do mnie z wyciągniętymi pięściami.

Zaczęła się walka... Ty wiesz, mamó, że jestem silna. Ćwiczę się przecież ciągle, chcąc w ten sposób uniknąć prześladowań, jakie muszą znosić w życiu takie figi jak ja.

Moi przeciwnicy nie mieli pojęcia o jakichkolwiek zasadach walki, mieli tylko przewagę wzrostu i to, że było ich dwóch. Ale może byłabym sobie dała z nimi radę, gdyby nie to, że któryś podstawił mi nogę... Przewróciłam się... uderzyłam głową o kamień... Poczułam silny ból... mimo to zerwałam się, ale nic nie widziałam, bo jakaś czerwona mgła przesłaniała mi oczy. Wtem padły znów zniechęcające słowa:

„Oj! Oj! Patrz! Ta figa cała we krwi!”

„Uciekajmy! Powiedzą, żeśmy zakatrupili taką figę!”

Rzuciłam się w kierunku tych głosów... Bić! Bić za tę figę!

Gdy czerwona zasłona krwi, przesłaniająca mi oczy, zrzędnęła, dojrzałam uciekających chłopaków. Rzuciłam się za nimi w pogoń... Zaczepiłam o coś... znów upadłam...

Pewnie straciłam przytomność, ale jak to długo trwało, nie wiem.

Gdy otworzyłam oczy, zobaczyłam pochyloną nad sobą lwonę, która owiżywała mi głowę, a potem wzięła mnie na ręce. Dokąd, jakimi drogami mnie niosła, nie wiem, bo znów straciłam przytomność.

132

J-

Gdy ją odzyskałam, byłam w jakimś dziwnym schronieniu, jakby pod ziemią... jakby w katakumbach*... Ściany z ziemi obwieszane wiankami z zeschniętych ziół... Trzy czarne krzyże... koło nich trzy pożółkłe fotografie...

— To synowie lwony... To jej mieszkanie... — szepnęła zduszonym przez łzy głosem pani Żarkowska.

— Tak! To było mieszkanie lwony... Jej samej przez jakiś czas nie było, więc rozglądałam się wokoło. Nie czułam żadnego lęku, ale było mi tak dziwnie! Pod trzema krzyżami spostrzegłam wgłębienia, jakby odcisnięte przez dwa kolana... Widocznie lwona często przed tymi krzyżami się modli...

Leżałam na tapczanie, koło którego stał niby stół — deska oparta na dwóch pniach. Na tej desce leżała duża otwarta książka o pożółkłych kartkach...

Całość przypominała celę pustelnika, ale Iwona, która weszła właśnie, nie wyglądała jak pustelnik, ale jak wróżka jakaś albo baba jaga, tylko że dobra baba jaga, przynosząca z sobą jakieś nadzwyczajne zioła, którymi obłożyła mi głowę... Są one jeszcze pod bandażem i tak dobrze koją ból, z początku bardzo silny. Potem dała mi się napić jakiegoś płynu o bardzo miłym smaku i zapachu. Zaraz po wypiciu tego zasnąłam i obudziłam się dopiero tutaj.

— Iwona przyniosła cię śpiącą. Obudziłaś się, gdy ta niezwykła istota napoiła cię jakimiś ziółkami — objaśniła łagodnie pani Czerska.

— Zioła Iwony są niezastąpione! Bywały wypadki, iż ratowały ludzi, dla których jak się zdawało, nie było już żadnego ratunku. Toteż możemy być zupełnie spokojni o zdrowie Lusi i wysłuchawszy jej spowiedzi, w której nie mogę się jakoś dopatrzeć tej wielkiej winy, o jakiej mówiła, możemy pójść spać, bo wypoczynek rzetelnie się należy wszystkim! — zaproponowała pani Żarkowska, ale Lusia znów zaprotestowała.

— Jak to? Ciocia nie może się dopatrzeć winy? Przecież gdybym się nie uniosła usłyszawszy, jak ci łobuzi nazwali mnie

* katakumby — podziemne cmentarze, podziemia kościołów lub budynków cmentarnych, gdzie stawia się trumny ze zwłokami.

133

figą, nie byłoby doszło do tej całej awantury, no i nie przeżywalibyście strasznych chwil niepokoju, nie martwilibyście się o mnie...

— Daj pokój, Lusiu! Grunt, że się wszystko dobrze skończyło! _ przerwał kategorycznie Andrzej. — Teraz popełniłabyś naprawdę przestępstwo, gdybyś swoim samooskarżaniem się oddaliła od nas sen, którego tak bardzo pragniemy. Uprzedzam, że zasnąłbym, gdybyś jeszcze zaczęła mówić o tej fidze! Bardzo przepraszam, że zachowam się nieprzystojnie, ale zmęczenie ma swoje prawa! Po prostu kładę się na pierwszej lepszej kanapie i za chwilę moje chrapanie zagłuszy wszystko!

Na oświadczenie Andrzeja nie było już żadnej rady, tym bardziej, że przypadło ono wszystkim do smaku. I tak, po burzliwym dniu niepokoju i udręki, w najweselszym nastroju pożegnało się całe towarzystwo i Lusia, przeniesiona do swego pokoju, po raz pierwszy serdecznie utulona i ucałowana przez swoją drugą matkę, zasnęła powtarzając z przekonaniem:

— Jacy wszyscy są dobrzy! Jacy bardzo dobrzy dla mnie!

134

Było już dość późno, gdy do gościnnych pokoi na górze dotarły dźwięki muzyki.

— Och! Ciocia gra! — szepnęła Lusia, budząc się i przeciągając leniwie. — Musi być już późno! Zasnęłam! Ach, prawda! Jestem przecież ranna! — dodała poczuwszy bandaż na głowie.

To jej przypomniało przeżycia dnia wczorajszego i znów ogarnęło ją uczucie wstydu. Tym razem chodziło jej już nie tylko o tę wczorajszą przygodę, ale o jej dawniejsze uczucia dla macochy, jak dotychczas nazywała panią Czerską. Jakaż była niemądra i niesprawiedliwa! I jak bardzo wdzięczna była Andrzejowi, który jej to szczerze powiedział!

Och! Musi się wziąć za siebie, musi popracować nad sobą, by zmienić swój charakter, zwalczyć zaciętość, opanować gwałtowność!

Z tymi dobrymi postanowieniami zabierała się do wstawania. Trochę jej to szło opornie, głowa ciążyła i wydawała się dziwnie duża, nogi były jakieś nieposłuszne i nie bardzo się chciały wyprostować, nawet ręce były jakieś leniwe... Ale trzeba to przezwyciężyć! Tam z dołu dobiegały dźwięki muzyki... Przy fortepianie siedziała ciocia Żarkowska, taka przedobra, taka kochana i tak bardzo potrzebująca opieki i pomocy. Trzeba jak najprędzej wziąć się do roboty...

Dźwięki muzyki zbudziły i panią Czerską, która po zmęczeniu długą podróżą, a jeszcze bardziej po wrażeniach dnia wczorajszego wypoczywała znakomicie w wygodnym łóżku i zupełnej ciszy, tak bardzo kojącej dla mieszkańców miasta, przyzwyczajonych do ciągłego gwaru, nie ustającego nawet w nocy.

Myśl pani Czerskiej pobiegła przede wszystkim do Lusi. Zdawało jej się, że słyszy jakiś szmer z jej pokoju, więc narzuciwszy szlafroczek, wyszła na korytarz i ostrożnie otworzyła drzwi.

— Ależ Lusi! Jak można! — zawołała, widząc, że dziewczynka podniosła się i stanęła koło łóżka, ale zaraz zachwiała się i byłaby upadła, gdyby ją nie podtrzymało mocne ramię.

135

— Jesteś jeszcze słabiutka! Połóż się... Trzeba będzie opatrzyć główkę, no i zmierzyć gorączkę...

Lusia położyła się posłusznie, ale zaraz zerwała się ze strachem.

— Ktoś przyjechał... żeby tylko nie ten Rudolf...

— Leż spokojnie, a ja zaraz wszystko sprawdzę...

Pani Czerska otworzyła okno i wychyliwszy się zobaczyła wysiadającego z wolanta pana Rudolfa.

— Tak, to on!

— Och! Mamo! Ten człowiek zawsze z czymś złym przyjeżdża! Ja się na tych rzeczach nie znam... Nawet Andrzej nie bardzo się orientuje. Ale to pewne, że ten Rudolf chce skrzywdzić ciocię Żarkowską i Żarkowice... Właśnie dlatego prosiliśmy, żebyś przyjechała, bo my sami nie możemy tu nic poradzić! — gorączkowo mówiła Lusia.

— Uspokój się, dziecko! Zrobimy, co się da. Ale przede wszystkim musisz być zdrowa. Więc połóż się i leż spokojnie, póki nie przyjdę do ciebie!

Pani Czerska opuściła pokój Lusi i pospiesznie zaczęła się ubierać.

Z dołu nieprzerwanie dochodziły dźwięki fortepianu. Te właśnie chwile, gdy pani Żarkowską była pochłonięta muzyką, wyzyskiwał jej siostrzeniec, by ją skłonić do niekorzystnych transakcji... I teraz na pewno przyjechał w tym celu...

Kończąc jeszcze na schodach ubieranie, schodziła pani Czerska szybko na dół. Pod drzwiami salonu wystraszyła podsłuchującą grubą gospodynię, co jeszcze bardziej umocniło ją w przekonaniu, że siostrzeniec pani Zarkowskiej przyjechał z nieczystymi zamiarami.

Trzeba temu przeszkodzić za wszelką cenę.

Ostrożnie otworzyła drzwi. Dostrzegła siedzącą przy fortepianie drobną postać i pochylonego nad nią grubego mężczyznę. Delikatne palce słabiej przebiegały po klawiszach. Snać słowa pochylonego nad nią grubasa przeszkadzały pani Zarkowskiej.

136

— To jest głupstwo... Chodzi o prostą formalność. Ten naczelnik Urzędu Skarbowego czepia się mnie... Mogę mieć duże nieprzyjemności. Ciocia podpisze tylko ten list. Przecież to są już rzeczy przedawnione. W liście ciocia pisze, że upoważnia mnie do zawiadomienia, że decyduje się na zlicytowanie fortepianu...

— Ależ to nieprawda... — jęknęła pani Żarkowską.

— Ja wiem... Lecz tak się jakoś stało, że powiedziałem to czy nawet napisałem... Powtarzam, naczelnik Izby Skarbowej może mi z tego zrobić niemiłą sprawę. Niech więc cioteczka nie odmawia mi... O, tu trzeba złożyć podpis... Służę wiecznym piórem. Potem nie będę już cioci przeszkadzał... Tylko poproszę o zagranie mi mego ulubionego nokturna...

Pani Żarkowską wahała się jeszcze, ale kusiciel podsuwał jej papier, nie przestając prosić lub też zachwycać się muzyką, aż wreszcie pani Żarkowską z cichym westchnieniem ujęła za pióro...

— Za pozwoleniem! — rozległ się niespodziewanie głos pani Czerskiej, która podbiegła szybko i wyjęła pióro z rąk pani Zarkowskiej. — Mąż mój jest wezwany do Żarkowic w ważnych sprawach. Do jego przyjazdu nie może pani podpisywać żadnych papierów!

Twarz Rudolfa Holowego nabrała fioletowych tonów, małe, ruchliwe oczka nabiegły krwią.

— Co to znaczy? Jakim prawem wydaje pani rozkazy pani Zarkowskiej?... — wybełkotał z wściekłością.

— Na jej własne żądanie! Zresztą mąż mój będzie tu za kilka dni... Te papiery, które pani Żarkowską ma podpisać, czekają do jego przyjazdu.

— Ależ ja mam od pani Zarkowskiej pełnomocnictwo... Jestem przez nią upoważniony do prowadzenia interesów... Mogę pani przedstawić dowody formalne — krzyczał z wściekłością Rudolf Holowy.

Ale pani Czerska nie zwracała uwagi na jego podniecenie i spokojnym głosem odparła:

137

— Nie mam prawa decydować o niczym... Tym bardziej, że się na tych sprawach nie znam. Mąż mój, powtarzam, będzie tu za parę dni... Jest adwokatem, więc ujmie wszystko z prawnego punktu...

Rudolf Holowy rzucił się gwałtownie w stronę pani Żarkowskiej.

— Ależ ciociu! Co to wszystko znaczy? Przecież to jest obraza dla mnie... Czy ciocia mi nie ufa?

Biedna pani Żarkowska patrzyła bezradnie to na panią Czerską, to na Rudolfa Holowego, nie mogąc się zdobyć na odpowiedź. Wybawiła ją od niej gospodyni, która bezceremonialnie wtoczyła się do salonu, oznajmiając od progu:

— Telegram!

Rudolf Holowy wyciągnął rękę, chcąc wziąć depeszę, ale uprzedziła go pani Czerska.

— To do mnie! — rzekła, a odczytawszy tekst, rzekła z uśmiechem: — Doskonale się składa. Mąż będzie tu za trzy dni!

— Ale ja muszę to mieć dzisiaj! Ciocia mi to podpisze... Ciocia obiecała! To przecież nie żaden interes, tu nie chodzi o pieniądze. To prywatna sprawa! — wołał coraz bardziej zdenerwowany pan Rudolf.

— Wiesz, Rudolfie... Wolalabym się zatrzymać do przyjazdu mecenasa Czerskiego... Sądzę, że dojdiesz z nim łatwo do porozumienia. Przecież i tobie zależy na tym, by Żarkowice wyprowadzić z kłopotów finansowych... — nieśmiało tłumaczyła pani Żarkowska.

— No, zobaczymy jeszcze, jak ciocia i Żarkowice wyjdą na pomocy tych nowych doradców, co to chcą wtykać nos w nie swoje sprawy. Ale ze mną nie tak łatwo sobie poradzić. Potrafię bronić swoich praw! — krzyczał nie hamując się już zupełnie Rudolf Holowy, po czym nie żegnając się z nikim, wybiegł trzasnąwszy drzwiami.

— Ach, Boże! Rudolf się rozgniewał... Może niedobrze zrobiłam, że mu odmówiłam! — kłopotła się pani Żarkowska, z niepokojem patrząc na panią Czerską.

138

Ta ujęła ją serdecznie pod rękę, mówiąc wesoło:

— Ależ, proszę pani! Wszystko się załatwi, jak mąż przyjedzie. Przecież to tylko kilkudniowa zwłoka... Na razie trzeba mieć do mnie zaufanie... No, a teraz chodźmy do Lusi. Biedaczka jest bardzo osłabiona i zdaje się, trzeba będzie jednak wezwać doktora.

Na szczęście obyło się bez tego. Lusia już na drugi dzień czuła się zupełnie dobrze i z wielkim zapałem pomagała matce w zaznajamianiu się z różnymi sprawami żarkowickimi; pomagał też Andrzej, który przyjeżdżał codziennie po skończonych zajęciach.

— Moje szefowe, szczególnie pani Tymdyryndzina, same mnie wyprawiają, mówiąc, że trzeba pomagać tej panience...

— zatrzymał się na chwilę.

— Dokończ! Dokończ! Na pewno mówią: tej małej Fidze!

— zaśmiała się Lusja.

— No, jeżeli się śmiejesz i nie obrażasz, to rzeczywiście tak mówią!

— Jakaś dziwna mieszanina ludzi jest tutaj! Jedni życzliwi, spieszący z pomocą, choć nie mają w tym żadnego interesu... Inni zuchwali, niechętni, wrogo usposobieni — zauważyła pani Czerska, która korzystała z każdej chwili, by jak najlepiej zorientować się w zagmatwanej sytuacji.

Trzeba przecież dokończyć pomyślnie dzieła, rozpoczęte przez małą Figę i jej nieskończenie długiego przyjaciela!

Ale bardzo szybko przekonała się, że sprawy żarkowickie stoją niedobrze. Pani Żarkowska przyznała się, że od kilku lat, to znaczy od ostatniej swej bardzo ciężkiej choroby, przestała się zajmować gospodarstwem, zostawiając to Rudolfowi, który, jak twierdziła, odsuwał od niej wszelkie kłopoty.

Nietrudno było przekonać się, że gospodarka Rudolfa Holowego była dla Żarkowic fatalna! Urodzajna, doskonała gleba — zaniedbana, inwentarz żywy — nędzny, martwy — wyniszczony. Służba prawie całkowicie zmieniona przez pana Rudolfa, bez najmniejszego dozoru i kontroli, robiła co chcia-

139

ła, a nieliczne jednostki, które chciały uczciwie pracować, niewiele mogły zdziałać wobec ogólnego nieładu.

Uderzały też przeróżne braki w domowym gospodarstwie. Zapytana o to pani Żarkowska odpowiadała nieśmiało, że jej siostrzeniec często pożyczał niektóre rzeczy i pewnie chwilowo zapomniał je zwrócić!

O długach, zaległościach podatkowych i zaległych pensjach pracowników pani Żarkowska niewiele wiedziała.

— Ale podobno jest tego dużo... Rudolf mówi, że trzeba będzie sprzedać część lasu. Aleja nie chcę... Zdawałoby mi się, że ćwiartuję żywe ciało... Jakby mi kto rękę odciął. Żarkowice bez lasów nie byłyby Żarkowicami!

Z wielką niecierpliwością wyczekiwała pani Czerska przyjazdu męża, czując grożące pani Żarkowskiej niebezpieczeństwo, tym bardziej, że Rudolf Holowy przyjeżdżał codziennie i wyraźnie starał się pochwycić moment taki, by mógł być z nią sam na sam.

Czekała też na przyjazd ojca Lusia. Czekala z radością, bo wiedziała, że sprawi mu wielką przyjemność. Tatusiek tak zawsze martwił się jej przykrym stosunkiem do drugiej swej żony. Jakże się ucieszy, gdy zobaczy je w takich serdecznych stosunkach! Och! Jak to miło robić przyjemność swoim najbliższym!

Niewiele jednak było czasu na radosne powitania, bo pan Czerski przyjechał właśnie w chwili, gdy doręczono pani Żarkowskiej przypomnienie o wekslach, płatnych za parę dni.

Zjawił się naturalnie pan Rudolf, który proponował załatwienie tej sprawy w zamian za podpisanie listu do naczelnika urzędu skarbowego.

Wszystko to obijało się o uszy Lusi, jakby jakieś obce dźwięki, których w żaden sposób nie mogła zrozumieć. To jedno tylko było jasne: nowa jakaś groźba, nowe niebezpieczeństwo!

Na szczęście razem z mecenasem Czerskim zjawił się pan Łapiński. Panowie radzili długo, wzywali Rudolfa Holowego żądając od niego wyjaśnień, ale rezultat był widocznie niezbyt

140

pomyślny, gdyż pan Łapiński żegnając się rzekł do mecenasa:

— Jak pan widzi, sytuacja jest ciężka! Pan Holowy mógłby wprawdzie dużo pomóc, ale to nie leży w jego interesie!

Poważną rozmowę miał później mecenas Czerski z panią Żarkowska. Biedna ciocia o „srebrnych włosach"! Jakąż nieszczęśliwą, wystraszoną miała minę przy kolacji! Lusi zdawało się, że jest taka mała, maleńka. Mniejsza od niej — Figi!

Dopiero późnym wieczorem, gdy znaleźli się we troje na górze, ojciec uściskał serdecznie Lusię i szepnął jej do ucha:

— Bardzo, bardzo ci dziękuję, córeczko!

A później opowiadał dużo i jak zawsze bardzo ciekawie o swojej podróży, wreszcie rzekł:

— Szkoda tylko, że sprawy żarkowickie stoją niedobrze!

— Dlaczego, tatuśku? Wprawdzie ciągle o tym słyszę, ale nie bardzo rozumiem...

— Widzisz, córeczko, ciocia Żarkowska pożyczyła w ostatnich czasach dużo pieniędzy i na tak fatalnych warunkach, że po prostu nie wiadomo co robić! Powodem tego jest prawdopodobnie wielkie zaufanie, jakim ciocia Żarkowska darzyła swego siostrzeńca.

— Pana Rudolfa — szepnęła Lusja.

— Tak! Rudolfa Holowego! Skorzystał on z tego, że ciocia po ciężkiej chorobie nie mogła się zajmować interesami i zawładnął wszystkim.

— Dlaczego ciocia nie napisała do ciebie, tatusiu, o tym wszystkim?

— Bo nie zdawała sobie sprawy z tego, co się wokół niej dzieje. I dopiero pewna mała Figa otworzyła jej oczy. Gdyby tej małej osóbką nie było w Żarkowicach, nie wiadomo co by się stało.

— Ach, tatusiu! Cóż taka Figa mogła zrobić!

— Zrobiła dużo, bardzo dużo! Więcej niż mogła! I naprawdę dumny jestem z ciebie, córeczko! Ale teraz musimy te smutne sprawy wziąć w swoje ręce my dorośli.

— Ale, tatuśku, Żarkowice będą uratowane? — błagalnie składając swe drobne ręce mówiła Lusia.

141

— Bardzo to ciężka sprawa... Wszystko zresztą zależy od Rudolfa Holowego... Gdyby na niego znalazła się jaka rada... No, ale dość już tej nazbyt poważnej rozmowy dla ciebie, dziecko! Bądź pewna, że pan Łapiński i ja zrobimy wszystko, co będzie można.

Uściskawszy serdecznie Lusię państwo Czerscy poszli do swego pokoju.

Lusia położyła się zaraz, lecz długo nie mogła zasnąć. Myśli ciężkie, smutne krążyły wciąż koło jednego: znaleźć jakiś sposób na Rudolfa Holowego, aby nie szkodził Żarkowicom.

Znaleźć sposób? Ale jaki? Znaleźć sposób? Ach! Cóż tu wymyślić może ona, Figa, gdy starsi na próżno się nad tym głowią.

Wyratować Żarkowice... Znaleźć... sposób... na Rudolfa Holowego... Znaleźć sposób... O! Musi znaleźć sposób... ona... Figa...

Zasnęła.

• * * *

Rudolf Holowy wstał dziś wcześniej jeszcze niż zwykle, a był w tak złym humorze, iż wszyscy jego podwładni schodzili mu z drogi, gdy tylko go zobaczyli z daleka. Mimo to każdemu coś się dostało, nawet jego ulubieńcom, których sprowadził ze swej ojczyzny.

Bo pan Rudolf, aczkolwiek urodzony na polskiej ziemi i z matki Polki, za swą ojczyznę uważał kraj swego ojca. I chociaż właściwie nie znał go prawie wcale, wyobrażał sobie, że tam musi działać się bardzo dobrze, w Polsce zaś krytykował wszystko.

Mimo to nie miał zamiaru wyjeżdżać, lecz chciał zostać w Polsce, by się wzbogacić. A wzbogacić się mógł przez zdobycie Żarkowic.

Dotąd był na najlepszej drodze! Pani Żarkowska robiła wszystko, co chciała, podpisywała, co jej zręcznie podsuwał,

142

ani się domyślając, że każdy taki dokument zbliża chwilę, gdy Zarkowice przestaną być jej własnością i przejdą w jego ręce.

O, nie myślał jej wyrzucać stąd! Po co? Nawet, gdy już będzie właścicielem Żarkowic, otoczy ją opieką, pozwoli jej grać całymi dniami, ba — nawet nocami! Będzie miała wszystko, co jej będzie potrzeba, ale rządzić będzie on!

Pokaże dopiero, jak trzeba pracować i co można wyciągnąć z takiego majątku.

Takie miał zamiary pan Rudolf Holowy i do spełnienia ich dążył wytrwale, nie bardzo się licząc ze środkami. Wprawdzie ludzie gadali o nim różne, niezbyt pochlebne rzeczy, ale co go to obchodziło? Jak będzie panem na Żarkowicach, wszyscy mu się kłaniać będą.

Zdawało się, że był już bliski celu, gdy nagle coś się popsło...

I przez kogo? Śmiech bierze, gdy się o tym pomyśli!

Przez jednego dzieciaka, przez taką figę!

Wielkimi krokami przemierzał pan Rudolf pokój, nie mogąc usiedzieć przy biurku. A przecież miał tyle do roboty! Trzeba przejrzeć różne papiery, przygotować się na tę wspólną konferencję. Będzie musiał tłumaczyć się z wielu rzeczy... O, nie da się przytapać, ale musi się porządnie przygotować. Tymczasem nie mógł zebrać myśli. Ach, ta figa! Coś podobnego!

Ludzie opowiadają o niej nadzwyczajne rzeczy. Jak to pędziła na wielkim koniu, jak to do Urzędu Skarbowego trafiła, jak wszystkich na swoją stronę przeciągnęła.

Taka figa! Ma to wprawdzie dwanaście lat, a zrobiła więcej, niżby kilku dorosłych ludzi zrobić mogło. Taka figa! A może właśnie dlatego, że taka mała!

Przyszły mu na myśl, nie wiadomo dlaczego, dzieci spod Lwowa. Obrońcy Lwowa. Dzieciaki! Tak! Tak! Polska ma dzieci, które potrafią być bohaterami. I właśnie ta figa...

Zzymnął się. Wstrętne, nieznośne stworzenie! Zdusiłby ją, gdyby dostał w swoje ręce!

143

Ale coś, czego nie mógł w sobie zrozumieć, coś, co nie było ani złością, ani gniewem, czego w sobie nie znał, podsuwało mu myśli inne.

Dzielna dziewczynka! Nadzwyczajne dziecko!

No tak! Ale przez to on ma kłopoty!

Gwałtowne ujadanie Żika, wielkiego, kudłatego kundla, złego jak sam czort, odwróciło myśli pana Rudolfa od dziewczynki.

Kogo tam lichy niesie? Nie Klimka, bo na niego Żiko nie szczeka. Ktoś obcy z jakimś interesem.

Ciężkimi krokami podszedł Rudolf Holowy do okna, wyjrzał i... przetarł oczy nie dowierzając temu, co zobaczył.

Spojrzał powtórnie! — Nie, to nie zjawa, nie złudzenie — widzi najwyraźniej dużego, pięknego konia, a na jego grzbiecie... Znów przetarł oczy. Ależ tak, na grzbiecie, niby przyczepiony rodzynek, nie, niby figa, postać maleńkiej dziewczynki.

Zatrzymała konia... zeskakuje na ziemię.

Z głośnym szczekaniem wielkimi susami rzucił się ku niej Żiko.

— Jezus Mario! — ryknął pan Rudolf, biegnąc do drzwi. Był zły! Tak! Dążył brudnymi sposobami do zawładnięcia

cudzym majątkiem! Tak! Ale przecież był człowiekiem i nie mógłby patrzeć spokojnie, jak pies rozszarpuje bezbronne dziecko!

Wypadł na ganek i znów przetarł oczy, nie wierząc, by to, co zobaczył, mogło być rzeczywistością.

Wielki Żiko, nieubłagany, bezlitosny Żiko, postrach okolicy, stał przed małą figą spokojnie, nie okazując żadnych wrogich zamiarów. Przeciwnie, machał przyjaźnie ogonem i zdawał się być bardzo zadowolony z pieśczoły małej rączki, która głaskała jego kudłaty łeb.

Oprzytomniawszy nieco, pan Rudolf krzyknął gniewnie:

— Co ty wyrabiasz, mała! Przecież pies mógł cię rozszarpać! A potem ja bym za to odpowiadał.

144

Lusia ukłoniła się grzecznie i odparła, siłąc się na jak największą uprzejmość:

— O, nie, proszę pana! Nic mi nie groziło. Wielkie psy są bardzo szlachetne i nigdy nie krzywdzą słabszych od siebie.

— Po coś tu przyjechała? Czy ciotka cię przysłała? — szorstko zapytał pan Rudolf, przerywając wywody Lusi.

— Nie... Sama przyjechałam... Chcę z panem pomówić...

— Co takiego? Przyjechałaś tu, żeby ze mną pomówić! I o czymże to, jeśli można wiedzieć? — ironicznie pytał Rudolf Holowy.

— Wszystko zaraz panu powiem. Ale może wejdziemy do domu, albo przynajmniej usiądziemy na ganku?

10 — Figa

145

Lusia starała się mówić swobodnie, lecz słowa z trudem przeciskały się przez zaciśnięte łąkiem gardło, a serce tłukło się w piersiach tak silnie, iż zdawało jej się, że słyszy jego bicie.

Pomysł przyjazdu i rozmowy z Rudolfem Holowym wydawał jej się znakomity aż do chwili, gdy stanęła przed tym człowiekiem patrzącym na nią gniewnie i z wyraźną niechęcią. Teraz miała ochotę zawrócić, wskoczyć na konia i uciec, nie powiedziawszy ani słowa.

— No to chodź, kiedy koniecznie chcesz mówić ze mną — nie bardzo gościnnie zaprosił pan Rudolf i wprowadził Lusię do swego gabinetu.

Wszystko tu było duże: i sam pokój, i biurko, i fotele. Lusia miała wrażenie, że przy tych wielkich, ciężkich meblach jest jeszcze mniejsza, niż zwykle.

— Siadaj! — burknął pan Rudolf, wskazując Lusi fotel.

— Dziękuję! — odparła grzecznie, ale w duchu pomyślała — Pewnie mnie wcale w tym wielkim fotelu nie będzie widać.

Rzeczywiście, drobnitka jej postać prawie zniknęła w wygodnym, dużym meblu.

— I to jest ta bohaterka, o której w tej chwili z zachwytem mówi całe miasteczko! Ledwie to można dostrzec! Figa taka! I z czym to do mnie przychodzi? — myślał Rudolf, czując, że słabnie w nim gniew i złość, które teraz starał się w sobie podniecać, a gdzieś w głębi, do której w ostatnich czasach tak rzadko zaglądał, rządzi jakieś ciepłe, dobre uczucie.

— No więc mów! Słucham! — rzekł niemal uprzejmie. Ba! Mówić! Nie tak to łatwo, kiedy się nie wie, od czego

zacząć! Wszystkie mądre zdania, które sobie układała w nocy i teraz pędząc na koniu, uciekły gdzieś bez śladu, a w głowie zrobiło się dziwnie pusto. Jednak trzeba jakoś zacząć, coś powiedzieć...

— Przyjechałam tu w sprawie Żarkowic — bąknęła wreszcie.

— W sprawie Żarkowic? No, no! To ciekawe. I tak sama z siebie przyjechałaś z tym? — z zainteresowaniem pytał pan Rudolf. — Proszę, mów dalej! Jestem bardzo ciekaw, co mi powiesz.

146

— Więc jest tak — ośmielona przyjaźniejszym tonem zaczęła Lusia. Zdawało jej się przy tym, że oczy pana Rudolfa patrzą na nią trochę inaczej, lepiej. — Z tego, co wokoło mnie mówią, zrozumiałam, że cici Żarkowskiej grozi niebezpieczeństwo, że może utracić Żarkowice. I pomyślałam sobie, że pan może je uratować!

— Ja? A to paradne! — krzyknął pan Rudolf i nagle zaczął się śmiać przykrym, złym śmiechem.

— Ha, ha ha! To paradne! Ha, ha, ha!

Lusia patrzyła na śmiejącego się człowieka przerażonym wzrokiem. Zdawało jej się, że to śmiech szatana, złowieszczy, druzgocący wszystko, co jest dobrego w człowieku.

Zdjął ją przed tym śmiechem lęk tak wielki, że już zamierzała zerwać się z fotela i uciec, gdy wzrok jej padł na wiszący nad biurkiem portret, który tak mocno przykuł jej uwagę, iż przestała słuchać obrzydliwego śmiechu i zapomniała o śmiejącym się człowieku.

Portret przedstawiał kobietę o delikatnych rysach, dużych, spokojnych oczach, pogodnych i dobrych. Najwięcej jednak pociągał w tej twarzy uśmiech, śliczny, słodki uśmiech, który zjednywał sobie od razu serca.

Lusia patrzyła na portret z zachwytem i jednocześnie wyczuwała, że jest on jej jakby dobrze znany, że kogoś bardzo przypomina.

— Ależ tak! — wykrzyknęła nagle, nie zważając już zupełnie na śmiejącego się pana Rudolfa. — Ależ tak! Ta śliczna pani to prawie ciocia Żarkowska!

Śmiech urwał się gwałtownie. Rudolf Holowy podniósł oczy i razem z Lusią patrzył na portret.

— To moja matka! — szepnął głosem zupełnie innym niż mówił dotąd.

— Tak przypuszczałam, bo ta piękna pani jest bardzo podobna do cioci Żarkowskiej. Tak samo miło, słodko się uśmiecha. Och! A pan śmiał się przed chwilą tak brzydko.

— Moja matka była bardzo piękna i bardzo dobra! Ja w niczym do niej nie jestem podobny. Jestem obrzydliwy

147

i zły! I dlatego śmiałem się, gdy mi powiedziałaś, że ja właśnie mogę uratować Żarkowice! — spowiadał się pan Rudolf, jakby miał przed sobą dorosłego człowieka, a nie małą dziewczynkę, wyglądającą w tej chwili jak duża lalka, którą dla zabawy usadowiono w wielkim fotelu.

Kto wie zresztą? Może gdyby przed nim siedział dorosły człowiek, nie byłby tak szczery?

Lusia potrząsnęła główką.

— Nie, proszę pana! Kto miał matkę tak ślicznie się uśmiechającą, nie może być taki zupełnie zły! O... Teraz pan zupełnie inaczej wygląda! I oczy ma pan inne... i twarz jakby inną. Teraz zupełnie się pana nie boję.

Rudolf Holowy zachnął się niecierpliwie... Chciał wywołać w sobie gniew... Cóż ta smarkata sobie myśli! Morały mu jakieś prawi! Skończyć z nią! Wyprawić do domu i już!

Ale zamiast ostrych słów cisnął mu się na usta uśmiech.

— Proszę pana! — mówiła tymczasem Lusia, instynktownie czując, że trzeba korzystać ze zmiany nastroju pana Rudolfa. — Ja wiem, że ludzie pana posądzają, iż pan chce zagarnąć dla siebie Żarkowice i skrzywdzić ciocię Żarkowską. Mimo to przyjechałam do pana. A teraz, kiedy zobaczyłam portret pana mamusi, to już wiem na pewno, iż pan wysłucha mojej prośby i pomoże uratować Żarkowice.

— Słuchaj, dziecko! Bierzesz się nie do swoich rzeczy i gadasz nie wiedzieć co! — przerwał pan Rudolf siląc się na surowy ton. — Ale masz dobre serce i chcesz jak najlepiej...

— Więc pan mi nie odmawia — krzyknęła Lusia, zrywając się z fotela.

— Czekaj! Czekaj! Nic ci przecież nie obiecywałem.

— Ale ja czuję, że wszystko będzie dobrze! — mówiła radośnie Lusia. — Bo, proszę pana, ciocia Żarkowską jest taka podobna do pana mamusi. A pan kochał przecież swoją mamusię, a że jej już nie ma, więc pan musi kochać ciocią Żarkowską, a jeżeli ją pan kocha, to pan nie może jej zrobić krzywdy. A jeżeli pan jej zrobił jaką krzywdę, to powinien pan to jak najprędzej naprawić. A naprawi pan to najlepiej, gdy pomoże wyratować Żarkowice.

148

Lusia wyrzuciła z siebie to wszystko jednym tchem, nie dając panu Rudolfowi, który kilkakrotnie chciał jej przerwać, przyjść do słowa. Aż się zadyszała z przejęcia, a jej rozpromieniona buzia i rozjaśnione, śmiejące się oczy rozsiewały taki jakiś urok, że zacięty, zły, twardy i nieustępliwy człowiek mięknął jak wosk i czuł, że nie potrafiłby niczego odmówić tej maleńkiej dziewczynce, która jak promyk słoneczny rozjaśniała mroki jego ponurej duszy.

— Dziecko! Bóg cię obdarzył jakąś mocą, którą rzadko kiedy u najsilniejszego człowieka spotkać można! — rzekł wzruszonym głosem.

Lusia wzięła te słowa za formalną obietnicę i wyciągnąwszy swą maleńką rączkę do pana Rudolfa, zawołała radośnie:

— O, dziękuję, bardzo dziękuję! Teraz już jestem zupełnie spokojna, że wszystko będzie dobrze! Więc jeszcze raz dziękuję i muszę już wracać, bo tam nikt nie wie, że przyjechałam tutaj.

Zanim Rudolf Holowy opamiętał się, po maleńskiej Fidze nie było ani śladu.

Rudolf Holowy potarł ręką czoło.

Co to było? Co się stało? Co go opętało?

Czyżby naprawdę kilka słów tej smarkatej mogło w nim zmienić duszę?

Ejże, panie Rudolfie! Chcesz odstąpić od swoich planów? Zmarnować tyle wysiłków, tyle sprytnie obmyślonych poczynań? Wyrzec się pięknego majątku? Wyrzec się władzy?

Wielkimi krokami przemierzał gabinet, na próżno starając się przywołać do siebie złych doradców, którzy kierowali stale jego krokami, nie dając przystępu głosowi sumienia.

Zniknęli gdzieś, a miast nich odzywały się jakieś inne głosy.

— Właściwie nie wiadomo, czy teraz, gdy do spraw żarko-wickich zaczęli się wtrącać inni, wszystko poszłoby tak gładko! — starał się w myśli usprawiedliwiać swoją ustępliwość wobec Lusi pan Rudolf.

Przypomniał też sobie pewne sprawy, które mogłyby się zwrócić przeciwko niemu, nieprzychylny stosunek do niego

149

opinii publicznej, pewne trudności, które miał w ostatnich czasach z władzami.

— W gruncie rzeczy może to, o co mnie prosiła ta mała, wyjdzie mi na korzyść! — zdecydował, ale w głębi duszy czuł, że nie to skłania go do zmiany postępowania, lecz coś innego, coś, co wniosła do jego duszy drobna postać dziewczynki, przyczepionej jak figa do grzbietu galopującego konia!

We dworze nikt nie zauważył nieobecności Lusi ani jej powrotu. Pan Czerski wyjechał dość wcześnie do pana Łapińskiego, pani Czerska obchodziła gospodarstwo zaznajamiając się z nim dokładnie, a pani Żarkowska czuła się niezupetnie dobrze i dłużej wypoczywała u siebie w pokoju.

Lusia była zadowolona z tego, że może być przez jakiś czas sama. Czuła, że zmęczyłoby ją nawet towarzystwo Andrzeja, któremu przyzwyczyła się zwierzać ze wszystkiego. Ale tym razem nie mogłaby mu opowiedzieć o swojej wizycie u pana Rudolfa. Musiała to zachować w zupełnej tajemnicy.

Pan Czerski przyjechał dość późno razem z panem Łapińskim, z którym zaraz po obiedzie zasiedli do przeglądania różnych papierów. Myny mieli niezbyt zadowolone, a kilka zdań, które usłyszała Lusia, dowodziło, że zastali interesy żarkowickie w stanie gorszym jeszcze niż się spodziewali.

Obie panie też były zgnębione, chociaż pani Czerska starała się nie okazywać zmartwienia i nadrabiała miną. Nawet Andrzej, który, jak codziennie, przyjechał po obiedzie, nie dowcipkował, nie przekomarzał się z Lusią, był milczący i jakby zły.

Za to Lusia zwracała uwagę wszystkich swoją nieposkromioną wesołością. Śmiała się z byle czego, paplała bez ustanku, a przy obiedzie dawała prawdziwy pokaz dobrego apetytu.

— Czego ty się tak cieszysz dzisiaj? — burknął w pewnej chwili Andrzej, który nie mógł zrozumieć dobrego humoru Lusi. — Twój ojciec i pan Łapiński nie przynieśli dobrych wiadomości, lada chwila może znów jaki sekwestrator się zjawić, a ty wariujesz, jakby cię kto na sto koni wsadził!

150

W odpowiedzi Lusia zaśmiała się srebrzystym śmiechem i zawołała:

— Co by komu pomogło, gdybym miała taką grobową minę, jak wy wszyscy? Nic! A na wesoło zawsze można coś mądrego wymyślić.

— Hm... No, to wymyśl, bo jesteś przecież wesoła za wszystkich! — gniewnie zauważył Andrzej.

— Wymyślić, to pewnie nic nie wymyślę, bo na to jestem za głupia i nic a nic się na tych sprawach nie znam. Ale mam przecucie, że wszystko się dobrze skończy i dlatego tak mi wesoło!

W tej chwili rozległ się turkot zajeżdżających przed ganek koni.

— Masz twoje przecucie! Przyniosły one tego nieznośnego cudzoziemca! — ze złością zawołał Andrzej.

— Pan Rudolf miał matkę Polkę i urodził się na polskiej ziemi! — rzekła Lusia.

— No, to mógłby się uważać za Polaka i nie szkodzić polskiej ziemi! — wybuchnął z niebywałą u niego gwałtownością Andrzej.

— Polska krew zawsze się odezwie! — z powagą dorosłej osoby zauważyła Lusia.

Andrzej wzruszył ramionami i bąknął pod nosem:

— Co jej się dzisiaj stało? Nic nie rozumiem!

A tymczasem we dworze powstał ruch. Wszyscy zauważyli przyjazd Rudolfa Holowego, którego nikt się dzisiaj nie spodziewał.

Pani Żarkowska wyszła ze swego pokoju na spotkanie siostrzeńca, który z wielkim szacunkiem ucałował jej rękę.

— A ja specjalnie do cioci w pewnej sprawie — zaczął, lecz pan Czerski, który wszedł właśnie, przerwał mu:

— Pan daruje! Pani Żarkowska oddała w moje ręce swoje interesy, więc może pan ze mną pomówi.

— Tu nie chodzi o sprawy materialne... Nie chodzi mi o żadną jej decyzję, o żaden podpis, chcę jej tylko coś zakomunikować. Czy to panu wystarcza?

151

— Najzupętniej! — odparł pan Czerski.

Rudolf Holowy długo, bardzo długo rozmawiał z panią Żarkowską.

I znów wszyscy byli bardzo niespokojni i zdenerwowani, tylko Lusia nie traciła ani na chwilę humoru i gdyby nie zdziwiony, a chwilami karcący wzrok ojca, skakałaby, tańczyła, śpiewała i krzyczała na cały głos:

— Zobaczycie! Wszystko będzie dobrze!

Ale nie mogła nic mówić!! Przecież to jej tajemnica!

Gdy wreszcie po paru godzinach rozmowy Rudolf Holowy w towarzystwie pani Żarkowskiej zszedł na dół, Lusia doczekała się chwili, iż Andrzej uwierzył w jej dobre przeczucia.

Twarz pani Żarkowskiej z widocznymi śladami łez niedawno wylanych była dziwnie jasna, pełna zrozumienia ludzkich ułomności i win, i pełna przebaczenia. Rudolf Holowy spokojny, poważny wydawał się Lusi zupełnie inny, miłszy, jakby bliższy.

— Nie jest już teraz zły — pomyślała.

— Moi drodzy! — zaczęła pani Żarkowską. — Mój siostrzeniec, Rudolf, zakomunikował mi pewne rzeczy, które oddalają niebezpieczeństwo grożące Żarkowicom! Jestem mu za to bardzo wdzięczna, tym bardziej że jest to z jego strony pewna ofiara!

— O, przepraszam! — przerwał Rudolf Holowy. — Raczej naprawienie pewnych krzywd, jak sobie tego życzyła ta mała panienka, gdy była dziś rano u mnie.

— O, to miała być tajemnica! — szepnęła zmieszana Lusia, czując na sobie spojrzenia wszystkich.

— Z dobrych rzeczy nie trzeba robić tajemnicy — rzekł pan Rudolf i ujmując maleńką rękę Lusi dodał — A proszę kiedy znów do mnie przyjechać. Popatrzymy razem na portret mojej matki.

Gdy Rudolf Holowy opuścił pokój, przez długą chwilę panowała cisza, aż wreszcie pani Żarkowską rzekła:

— Zdaje mi się, że nasza dzielna Figa uratowała nie tylko mój fortepian, nie tylko Żarkowice, ale i — duszę ludzką.

152

•

* *

Od tej pory Lusie nie obraża się już, gdy ją nazywają Figą. Przeciwnie. Lubi to swoje drugie imię.

— Wiesz! — zwierzała się swemu wielkiemu, długiemu przyjacielowi — zdaje mi się, że tylko dlatego mogłam zrobić coś dobrego, że jestem taką figą!

— No, trochę w tym jest słuszności! Bo wyobraź sobie tylko, jak by to wyglądało, gdybym ja chciał robić takie rzeczy jak ty! Z Urzędu Skarbowego na pewno by mnie wyrzucili, bo pani Tymdyryndzina nie mogłaby mnie podnieść w górę i wołać, że to wstyd takiej drobinie nie ustąpić miejsca! No, a taki pan Rudolf nie robiłby sobie ze mną ceremonii, gdybym mu chciał prawić morały, jak ty to robiłaś! Ale swoją drogą trzeba przyznać, że jesteś dzielną Figą! Tylko nie bardzo w to wierzę, że się nigdy na nikogo już nie obrazisz za to przezwisko.

— Na pewno nie! — zapewniała Lusie.

- Słuchaj! Przecież w Warszawie będziemy się widywali? Prawda? — zapytał Andrzej.
- Naturalnie!
- Więc wyobraź sobie, jak na nas będą patrzyli, gdy będziemy szli razem ulicą! I ile się nasłuchamy różnych przezwisk.
- O... Nic mnie to teraz nie będzie obchodziło... A nawet, wiesz co? Przyszedł mi doskonały pomysł do głowy...
- No? Co takiego?
- Wyobraź sobie, jak byśmy świetnie wyglądali w filmie zatytułowanym: Figa i Sucha Tyczka!
- A wiesz, że to znakomity pomysł! Stalibyśmy się sławni...
- No i zarobilibyśmy masę pieniędzy... Pospłacalibyśmy długi żarkowickie.
- Nie potrzebowałbyś jeździć jako korepetytor!
- Sam płaciłbym za wpis... Pomagałbym stryjowi...

153

- Och! Jak to będzie doskonale!
- No! No! Jeszcze do tego filmu daleko! — uspokajał Lusię Andrzej.
- Ale się to zrobi! Zobaczysz! O, jakże się cieszę, że

jestem... Figą!

ЩТ

Maria Buyno-Arctowa urodziła się ok. 1877 roku, a zmarła 13 czerwca 1952 roku. W okresie międzywojennym była najpopularniejszą pisarką dla dzieci i młodzieży, a zwłaszcza dla dorastających pańienek.

Napisała około 70 utworów bardzo zróżnicowanych tematycznie i gatunkowo. Są wśród nich powiastki, opowiadania i powieści obyczajowe, fantastyczne, przeróbki polskich i obcych dzieł. Najbardziej znane utwory to: Kocia mama i jej przygody (1905), Kazia „Duża” (1919), Słoneczko (1920), Ojczyzna (1922), Perły księżniczki Mai (1925), Fifinka, czyli awantura arabska (1927), Wyspa Mędrców (1930), Zielony Szaleniec (1936), Dziecko morza (1937) i Figa (1939).

Większość swoich utworów zamieszczała w redagowanym przez siebie od 1903 roku przez wiele lat Moim Pisemku.

Jej sentymentalne, często nawet ckliwe powieści dla dziewcząt miały jednak wielkie wartości — podejmowały problematykę społeczną i narodową, kształtowały postawę patriotyczną i humanitarną. Bohaterowie jej utworów są zawsze wyraziście zarysowani, pełni wdzięku, żywo i emocjonalnie reagujący.

Spełniło się marzenie autorki wyrażone we wstępie do Figi: „...gorąco pragnę, aby moja książka była dla was nie tylko miłą rozrywką, lecz abyście z niej wynieśli niezachwianą wiarę w potęgę dobra, które zawsze zwycięża”.

£

MASZ KŁOPOTY Z MATEMATYKĄ?!

NIE MARTW SIĘ!

KSIĄŻKI WYDAWNICTW „ALFA”

POMOGĄ CI JE POKONAĆ!

*

Władimir Lowszyn

ZERKO ŻEGLARZ

Zerko, mieszkaniec państwa liczb Karlikami,

bierze udział w wyprawie kapitana Jedynki

po geometrycznych morzach i oceanach.

Wraz ze swym przyjacielem, kukiem Pi,

poznają tajniki geometrii, historię tej nauki,

a także znanych starożytnych matematyków.

Władimir Lowszyn

ZERKO, CZYLI TRZY DNI W KARLIKAMI

Ada, Kuba i Lech wędrują przez tajemniczą krainę arytmetyki — Arabelle — poszukując

zaginionego Zerka.

W czasie tej podróży poznają cyfry i liczby,

rodzaje działań i prawa rządzące w tej krainie.

Rozwiązują także wiele zagadek — zadań matematycznych.

Władimir Lowszyn Emilia Aleksandrowa

CZARNA MASKA Z AL-DŻABARU

Zerko i jego przyjaciele, Ada, Kuba i Lech, starają się rozwiązać tajemnicę Zielonego Strączka i uwolnić Czarną Maskę.

Muszą jednak wcześniej poznać prawa rządzące w Al-Dżabarze — krainie algebry, a także nauczyć się układać i rozwiązywać równania.